NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 4 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA, KRAKÓW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.

Prenumeratę przyjmują Biura Ungra w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop.

Rok II. Kraków, 16 grudnia 1905 r. Nr. 51.

Samobójstwo pod klasztorem Kamedułów na Bielanach.

(Do artykułu na stronie 2).



Samobójstwo pod klasztorem Kamedułów na Bielanach.

(Do ilustracyi tytułowej).

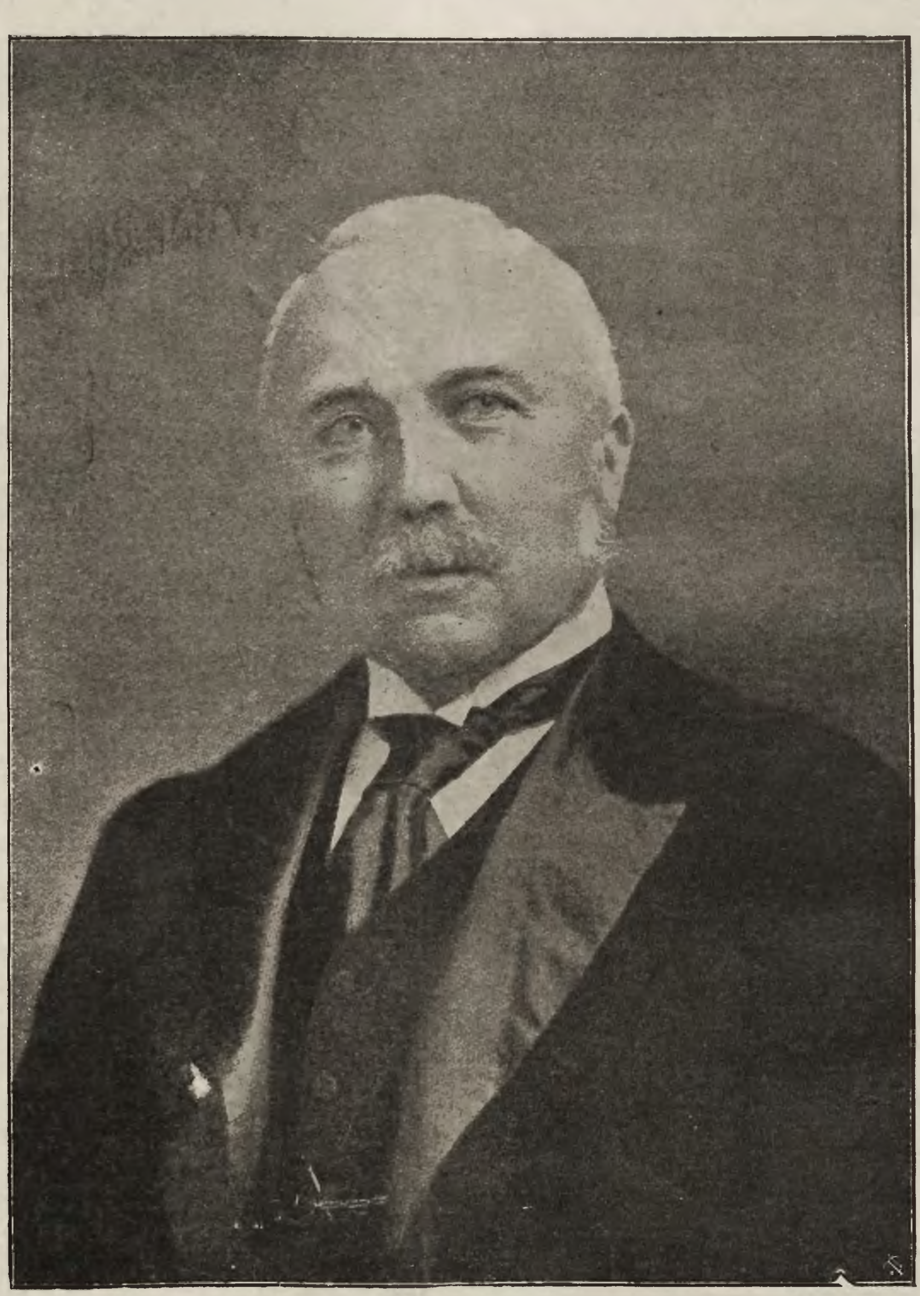
Coraz częściej słyszymy dzisiaj o wypadkach samobójstwa. Poprostu możnaby powiedzieć, że w społeczeństwie panuje teraz mania samobójstwa, której ofiarą padają nie tylko ludzie młodzi, ale i starsi, mający już doświadczenie życiowe. Jest to bez kwestyi obraz bardzo przykry, bo wykazujący jasno słabość dzisiejszych ludzi, których życie zawczasu łamie i broń samobójczą do ręki im kładzie. Zawczasu ludzie tracą dzisiaj ochotę do życia, boją się życia, jakby nie wiedzieli, że nigdy nie płynie ono nikomu spokojnie, że zadaniem człowieka jest walka ustawiczna, pełna trudności walka, ale walka wiodąca do zwycięstwa, jakby nie wiedzieli, że lepiej jest upaść, aniżeli ustąpić z pola walki, dać się poprostu przestraszyć zwycięskiemu olbrzymowi, jakiem jest życie. Objaw to w naszem społeczeństwie tem smutniejszy, że jeżeli gdzie, to właśnie u nas przedewszystkiem potrzeba sił, potrzeba hartu ducha i odwagi, bo to jedynie zdoła nas uchronić od zatraty.

Nie będziemy roztrząsali przyczyn, jakie wpłynęły na rozwinięcie się u nas tej manii samobójczej. Zaznaczyć jednak musimy, że wpływa na to w pierwszym rzędzie brak wiary, brak religii, stanowiącej w burzach i przeciwnościach życia najsilniejsze oparcie dla człowieka, dalej brak wiary w swoją własną siłę, w moc swego ducha, co musi wywołać tchórzostwo i strach przed życiem, oraz chęć uniknięcia walki i raczej poddanie się sromotne, aniżeli walkę.

W ubiegłym tygodniu rozeszła się po Krakowie wieść, wstrząsająca grozą, wieść o samobójstwie starszego już mężczyzny, który odebrał sobie życie w lasku bielańskim, opodal klasztoru OO. Kamedułów.

Wieczorem w ubiegły wtorek wybrał się Leon Winiarski, starszy już mężczyzna pod pozorem, że idzie na polowanie, poza Kraków, do lasu bielańskiego. Zabrał ze sobą dwa psy, tak, że nikomu na myśl nie przyszło, aby człowiek ten, w pełni sił, wychodził z domu, ażeby już d ń nie wrócić. W nocy, około godziny dwunastej rozległ się w lesie bielańskim strzał, który z powodu ciszy, jaka w lesie bielańskim panuje, usłyszano nawet w pustelni świątobliwych Kamedułów. Był to strzał samobójczy; Winiarski strzelił do siebie i padł trupem na miejscu. Wierne psy usiadły obok samobójcy, a wreszcie, obwąchawszy go i przekonawszy się, że pan ich już nie żyje, zaczęły w okropny sposób ujadać i szczekać, mącąc ciszę tego ustronnego wzgórza. Zdziwieni zakonnicy, słysząc powtarzające się ciągle ujadania psów, wyszli do lasu, zdziwieni, co jest powodem tych hałasów. Idąc za echem, doszli wkrótce na małą polankę, gdzie zobaczyli straszny obraz. Na mchu leśnym, w kałuży krwi, leżał człowiek z roztrzaskaną czaszką, a obok niego dwa psy, które w żaden sposób nie pozwalały zbliżyć się do trupa. Zakonnicy próbowali wszelkich środków, aby je ułagodzić, ale kiedy wszystkie sposoby zawiodły, uciekli się do ostatniego, mianowicie zastrzelili wierne zwierzęta i w ten sposób dostąpili wreszcie do trupa. Ratunek był już niepotrzebny; mężczyzna, którego znaleźli, już nie żył. Jeden z parobków klasztornych, który widywał dawniej śp. Winiarskiego, rozpoznał zwłoki; na drugi dzień dano więc znać rodzinie zmarłego o strasznym wypadku. Powód samobójstwa okryty jest dotąd tajemnicą.

Ilustracya, zamieszczona na tytułowej stronie dzisiejszego numeru, przedstawia chwilę, kiedy zakonnicy, zwabieni zaciekłem ujadaniem psów, znajdują zwłoki nieszczęśliwego samobójcy.



Zmiana gabinetu w Anglii: Henryk Campbell Bannermann, nowy premier ministrów w Anglii.



Z rewolucyi w Sebastopolu: Rewidowanie zrewoltowanych marynarzy po stłumieniu buntu. (Treść na stronie 15).

Zmiana gabinetu w Anglii.

Rok 1905 jest stanowczo okresem przewrotów. Pomijając już wojnę rosyjsko-japońską, jaka przez ośm miesięcy trzymała cały świat w naprężeniu, pomijając wielką rewolucyę rosyjską, niema prawie państwa w Europie, któreby nie przechodziło w tym roku znacznych wstrząśnień. W Austro-Węgrzech rozogniła się walka o reformę wyborczą, Niemcy o mało nie wplątały się w wojnę z Anglią i Francyą, Norwegia zerwała unię ze Szwecyą i ogłosiła się samodzielnem królestwem, w Anglii samej zaszedł zaś fakt, może nie tak w skutki obfity, jak wspomniane wyżej fakta w innych państwach, ale dla samej Anglii, dla jej rozwoju, bardzo wiele znaczący, mianowicie gabinet Balfoura, dzierżący władzę od lat trzech w swem ręku, podał się do dymisyi.

Przyczyną upadku Balfoura było rozdwojenie w parlamentarnej większości rządowej. Balfour, człowiek ogromnie zdolny, odraczał dymisyę swego gabinetu oddawna już z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień, aż wreszcie przekonawszy się, że rząd niema już zaufania nawet u znacznej części tego stronnictwa, na którem się opiera, poddał się twardej konieczności i ustąpił.

Król Edward powierzył teraz misyę utworzenia nowego gabinetu przywódcy liberalnej opozycyi Campbell Bannermanowi. Nowy premier ministrów w Anglii liczy dziś lat 69 i ma za sobą bardzo poważną przeszłość polityczną. Już w roku 1871 był on sekretarzem finansowym w ministerstwie wojny, w roku 1885 ministrem dla Irlandyi i należał także do dwóch następnych gabinetów Gladstona jako minister wojny. Po śmierci Gladstona wysunął się rychło na czoło partyi liberalnej, którą zjednoczył i zorganizował. Energicznem wystąpieniem swojem przeciw wojnie z Boerami naraził się na niepopularność i zyskał nawet ironiczny przydomek „patron Boerów". To jednakże nie pozbawiło go wpływu i znaczenia.

Zadanie, jakie mu dzisiaj przypadło w udziale, nie jest łatwe, a nawet wcale trudniejsze, jak to, które Balfour objął przed trzema laty. Compbell bowiem niema się na czem oprzeć. Partya liberalna niema większości w parlamencie, a czy ewentualnie nowe wybory przyniosą jej większość — to jest rzeczą na razie ogromnie jeszcze wątpliwą.

W uzupełnieniu artykułu podajemy obok portret nowego prezydenta ministrów w Anglii.



Podróż angielskiego następcy tronu do Indyi: Książęta indyjscy, oczekujący przybycia następcy tronu angielskie w Bombaju.

Podróż angielskiego następcy tronu do Indyi.

Perłą korony angielskiej są Indye. Kraj to od Anglii wprawdzie bardzo odległy, ale pozostający pod jej panowaniem, o które rząd angielski dba więcej, aniżeli o wszystkie inne swoje kolonie. Bo też Indye są krajem niesłychanie bogatym, terytoryum, na którem się opiera cała dzisiejsza potęga angielska. Trzeba przyznać, że Anglicy umieli się zabrać do rzeczy, umieli pozyskać sobie popularność i sympatyę u ludów, zamieszkujących Indye, i mimo wszelkich zakusów Rosyi, mimo, iż Rosyanie poprostu przekupywali władców i książąt indyjskich, zdołali panowanie swoje nad Indyami rozpostrzeć tak, że wpływy Anglii są tam niezwalczone prawie.

Jest to już zwyczajem w Anglii, że każdy następca tronu, zanim ujmie ster rządów w swe ręce, odbywa tradycyjną podróż do tej tajemniczej krainy, do tych Indyi, które kryją w sobie drogocenne zabytki kulturalne wieków minionych i olbrzymie bogactwa materyalne. Zadaniem tych podróży przyszłych władców Anglii jest utrwalenie przymusowego sojuszu między rasą białą a żółtą przez bezpośrednie zetknięcie się panujących z żywiołami miejscowymi.

I obecny następca tronu angielskiego książę Walji, nie zaniechał tradycyjnej podróży do Indyi i dzisiaj znajduje się już w tej pełnej uroku krainie nadgangesowej, zwiedzając tajemnicze buddyjskie świątynie, czarowne ogrody fetyszów i klasztory.

Książę Walii wraz z małżonką zatrzymał się na początek w Bombaju. Tam zgromadzili się już wszyscy naczelnicy plemion indyjskich, w narodowych strojach, którzy przybyli ze wszystkich stron kraju, aby swemu przyszłemu władcy wyrazić uczucia lojalności i przyjaźni. W Bombaju odbyło się więc uroczyste przyjęcie ze strony miejscowych władz, jakoteż książąt indyjskich,

Podróż dostojnej pary do innych miast indyjskich była świetnym, tryumfalnym pochodem władcy, który u swych poddanych cieszy się nietylko szacunkiem i powagą, ale i najszczytniejszą rzeczą, stanowiącą zawsze podwalinę spokoju i rozwoju — miłością.

Obecna podróż księcia Walii ma jednak oprócz tradycyjnego, jeszcze ogromnie ważne znaczenie polityczne. Wojna rosyjsko-japońska, a raczej koniec jej, traktat w Portsmuth, wyrugował formalnie wpływy Rosyi z Azyi. Pora więc najlepsza, ażeby z tego skorzystać i rozszerzyć tam jeszcze bardziej wpływy angielskie. To też było głównym celem podróży księcia Walii do Indyi, to jest przyczyną, że dzisiaj oczy wszystkich dyplomatów europejskich zwrócone są znowu na Wschód, do Indyi.

W uzupełnieniu artykułu podajemy obok dwie ilustracye. Jedna z nich przedstawia książąt indyjskich, oczekujących w Bombaju przybycia dostojnej pary królewskiej, druga księcia Walii podczas rewii wojsk tubylczych w stolicy Indyi angielskich.



Podróż angielskiego następcy tronu do Indyi: Książę Walji podczas rewii wojsk tubylczych w Bombaju.

BOJOWNICY.

POWIEŚĆ

osnuta na tle ostatnich wypadków w Królestwie Polskiem

NAPISAŁ

JERZY SWOBODA.

29 (Ciąg dalszy).

W tej chwili weszła do cukierni modnie ubrana pani, stanęła na chwilę z wahaniem na środku salki i rozglądała się po siedzących, wreszcie podeszła do lady i spytała nieśmiało:

— Czy nie był tu mój mąż?

Subjekci i chłopcy spojrzeli drwiąco na siebie, a jeden ze subjektów:

— Pani zapewne pyta o pana Burnalskiego?... Nie, nie był dotychczas.

— Gdyby przyszedł, proszę mu powiedzieć, że byłam tutaj.

— Jaka godność pani? — i patrzał ostro.

— Jedna pani — mruknęła cicho i szybko odeszła.

Rozległy się śmiechy w cukierni, a subjekt, który z nią rozmawiał, rzekł:

— Czekałem, aby powiedziała: „żona", byłbym jej dosolił — zaśmiał się głośno.

Dwaj przyjaciele śledzili z wielką uwagą całą tę scenę i Żalecki szepnął:

— A ten subjekt jest robotnikiem, wyzyskiwanym, źle płatnym i przy zdarzonej sposobności pójdzie z nami, w jednym szeregu. Słyszałeś sam i to nie jest wyjątkowa moralność... to są wyrozumiali jeszcze. Widziałem przykrzejsze sceny i wymyślania.

— Cóż mi radzisz? — spytał na pozór obojętnie, ale widać było, że cierpi.

— Żyjcie oddzielnie i etycznie.

— A jeśli... — i urwał nagle.

— Jeśli? — zamyślił się — na twojem miejscu, Stachu, powiedziałbym sobie: każdą rozkosz okupuje się cierpieniem.

— Ba, gdybym tylko sam cierpiał...

— Idź do niej... znajdziecie wyjście godne was, godne sprawy naszej.

— Odstąpię od zasady i wezmę ślub w kościele.

— Bardzo słusznie, najlepsze wyjście... Zamieszkaj parafię, jak mówią, co potrwa sześć tygodni, następnie muszą być w twojej galicyjskiej parafii ogłoszone zapowiedzi, a że jesteś pełnoletni, możesz to zrobić. Nie wiem jednak, ile ona ma lat?

— Dwadzieścia jeden.

— Hm... gdyby była tutejszą poddaną byłaby już pełnoletnia, ale w Galicyi staje się nią w dwudziestym czwartym roku. Mówię to, bo mam pewne wątpliwości, czy jej rodzice zgodzą się na jej ślub?

— Czy to, co mówisz, Bolku, wiesz napewno?

— Interesowała mnie ta kwestya, ale poradź się prawnika... może znajdzie inny sposób.

— Namyślę się Bolku.. a za radę serdecznie dziękuję. Zawsze co dwie głowy, to nie jedna.

— A tak, co dwa, to nie jeden; zrobiłeś nowe odkrycie — zaśmiał się. — Jeśli chcesz, przenocuj w naszym górnym pokoju, dam ci klucz od wypadku — wręczył mu — a jutro robota od samego rana.

— Stawię się na nią. Do widzenia.

Żalecki patrzał za nim i twarz jego przybrała wyraz zadowolenia i dumy, bo przecież on również proponował Oldze t. z. „dzikie" małżeństwo, jak Walczak Helenie i Olga wprost odrzuciła, powodowana nie utylitarnemi obowiązkami dla sprawy, ale z głęboko w niej tkwiącego poczucia etyki społecznej. Tak, Olga jest inną, o wiele lepszą i piękniejszą.

I opadła go wielka tęsknota do niej, zapragnął ją zobaczyć, chociażby na jedno mgnienie, usłyszeć tylko dźwięk jej głosu.

Stopniowo czuł powracające siły, otrząsł się z marzenia, zapłacił należność i cały zaprzątnięty Olgą, wszedł na Plac Zamkowy, aby na Krakowskiem Przedmieściu wsiąść w tramwaj i pojechać w oznaczone miejsce, gdzie o dziesiątej miał spotkać Komara i uwiadomić go o instalacyi drukarni.

Już był blisko stacyi tramwajowej, gdy nagle posłyszał tak znany i upragniony głos tuż obok siebie.

— Bolku... za mną!

Drgnął, pobladł ze wzruszenia i musiał aż przetrzeć oczy, aby się upewnić, że mijała go tuż Olga.

Posłuszny szedł za nią i dopiero na Bednarskiej ulicy połączyli się ze sobą.

— Załatwiłam ostatnią ekspedycyę... jutro jestem już wolna, rozporządzajcie mną, mam czas.

— Widać jednak po was zmęczenie.

— Bo też nabiegałam się dzisiaj, rozdałam siedemset broszur, to nie żarty być w dziesięciu miejscach — i patrząc na niego — ale i wy jak z krzyża zdjęci.

— Znów tak dalece — i w tej chwili wyprostował się i z uśmiechem — mieliśmy trochę pracy ze Stachem... ale drukarnia gotowa i czeka na robotę.

— Co wy mówicie? — przystanęła cała rozpromieniona — więc wasze marzenia, Bolku, spełnione i posuniemy sprawę szybko i energicznie?

— Tak przynajmniej sądzę.

— Zaczynamy tedy jutro, nieprawdaż Bolku? — Po co zwlekać?... Mam dla naszej gazety dwa ciekawe dokumenty, jak mi się zdaje.

— Dokumenty?! Jakie? Mówcie? Nie macie przy sobie?

— Nie przypuszczałam, że was spotkam, byłabym wzięła.. Jeden w sprawie unitów...

— Doskonale, wybornie! — zaśmiał się z wielkiego zadowolenia.

— Drugi, okólnik do gubernatorów, aby pismo „Oświatę" prenumerowały herbaciarnie i restauracye prowincyonalne miejskie i wiejskie.

— I ten dobry... ależ wy, Olgo, jesteście nieocenionym skarbem, nietylko dla mnie, ale i dla całej partyi!

Olga zarumieniła się z radości i mówiła żartobliwie:

— Nie oddam wam, Bolku, tych papierów, póki mnie nie weźmiecie do drukarni.

— A, jak wylazł z was kapitalista i wyzyskiwacz! Wstydźcie się... ładna mi socyalistka!

— Nazywajcie mnie jak chcecie, ale ja chcę, ale ja proszę was, Bolku.

— Idź niewiasto w spokoju, jesteś uzdrowiona! Właśnie sam miałem wam zaproponować, abyście jutro stawili się... tylko kiedy?... Kiedy możecie wyjść niepostrzeżenie, a raczej bez podejrzeń na trzy, cztery godziny?

— Co do moich kłopotów z ciotką, poradzę sobie sama.. a mogę wyjść tak o dziewiątej rano, czy dogodna wam pora?

— Czekam was na Podwalu, bliżej Placu Zamkowego. Czy zgoda?

— Będę... a teraz żegnajcie i do widzenia. Ciotka czeka na mnie.

Stosownie do otrzymanego adresu, zadzwonił Bolek do drzwi w kamienicy na trzeciem piętrze. Wyszedł do niego młody człowiek i spytał:

— Kto wy?

— Ze szeregu — odpowiedział według wskazówki wiadomej.

— Proszę za mną.

W pierwszym pokoju zastał stół nakryty, oczekujący gości, a kilka pań siedzących zaś dwie rzuciło okiem na wchodzącego, zajęte rozmową.

Drugi pokój oświetlony był pusty i tu zatrzymał się młodzieniec otworzywszy mu drzwi do trzeciego pokoju, gdzie przy jasnem świetle lampy dostrzegł siedmiu mężczyzn, z których znał bliżej tylko Komara, a trzech innych znał z widzenia, ze wspólnych rozmów o partyi.

Prócz jednego, mocno szpakowatego bruneta, inni byli mniej więcej w równym wieku, tak po trzydziestym roku życia. Żalecki był wśród nich najmłodszym.

Komar uścisnął mu rękę, wskazał miejsce i rzekł żartobliwie:

— Słuchajcie Buczku, gdyby tu weszła policya, a wiecie, że nawet prywatne zabawy nie są wolne od wizyt tych panów, wy jesteś ie tu w interesie fabryki, bo strój wasz nie nadaje się do zabawy towarzyskiej.

Żalecki spojrzał po zebranych, z których każdy był starannie ubrany i bąknął:

— Nie wiedziałem... wracam od pracy.

— Niepotrzebnie się tłómaczycie.

— Jak sprawa z drukarnią? — spytał szpakowaty mężczyzna, trąc krótko strzyżoną brodę.

Żalecki podniósł oczy na mówiącego i pierwszą rzeczą, która go uderzyła, była szeroka blizna przez czoło, kończąca się na prawej brwi. Na razie nie wiedział, co ma odpowiedzieć.

— Jest na dobrej drodze.

— Nie o to was pytam — mówił surowym, trochę chrapliwym głosem — ale rachunki, koszt, wydatki?

Żalecki wyjął notatnik i dyktował cyfry, które jeden z obecnych notował starannie i po skończeniu podał szpakowatemu mężczyźnie.

Ten przejrzał uważnie i zwracając się do Żaleckiego:

— Nie wliczyliście waszych kosztów podróży. Jeśli poświęcacie czas i siły w usługach partyi i sami się utrzymujecie, koszta nadzwyczajne, jak podróże, inne opłaty, ponosi kasa... Zresztą pieniądz wam potrzebny, zwłaszcza teraz w drukarni; rublem ratuje się czasem setki, a nawet wolność ludzi. Ile wyniosły wasze wydatki?

Żalecki wymienił cyfrę.

— Zapiszcie i na dodatki dalsze dodajcie dwadzieścia pięć rubli.. Gdyby wam, Buczku, zabrakło, zgłosicie się do Komara i otrzymacie.

Wśród chwilowego milczenia jeden z uczestników zebrania, ładny blondyn, z delikatną cerą, zaróżowioną, jak u dziecka, rozwinął rulon papieru rozprostował na stole i rzekł:

— Zbliżcie się, Buczku, i spojrzyjcie — a gdy ten nachylił się nad planem rozłożonym — to kamienica róg Celnej i Brzozowej — pokazywał — a to wasza izba, czy oryentujecie się?

— Widzę i rozumiem.

— Tu kurytarz piwniczny, która z piwnic wasza?

Żalecki wskazał.

— Jesteście pewni?

— Najzupełniej.

— Otóż ten pas wiśniowy oznacza kanał główny, a ten blado-różowy kanał dawny, zarzucony dzisiaj, lecz niezamurowany przez niedbalstwo, a wylot jest nad Wisłą... Jak widzicie, kanał główny przecina na ukos piwnicę w jednym rogu, pomiędzy okienkiem a ścianą. W ciągu jednego dnia możecie dokopać się do sklepienia kanału, zrobić stosowny otwór i w razie nagłym ujść niepostrzeżeni. Drzwi od wewnątrz trzeba opatrzyć w sztaby żelazne, a otwór róbcie w samym rogu. Zanim dosza ają się otworu, zasłoniętego naturalnie, możecie być daleko i bezpieczni.

Żalecki był trochę zdziwiony tą nadzwyczajną troskliwością i rzekł z uśmiechem:

— Czy opłaci się tyle zachodu?

— Nietylko zależy nam — przemówił mężczyzna z blizną — na waszem bezpieczeństwie i wspólników, ale w przewidywaniu usilnych poszukiwań, rewizyj i prześladowań, wam powierzymy ważne papiery i kasę główną do przechowania. Was jedynie nie powinni schwycić, a tylko mnie i Komarowi powiecie o miejscu przechowania.

— Teraz rozumiem — szepnął Żalecki.

— Dlatego towarzysz Panna — wskazał na blondyna z rulonem papieru — wydostał plan miejski domu i udzielił wam wskazówek. Na rachunek koszów, bo potrzebna będzie drabinka, ocembrowanie, ślepe latarnie i t. d., otrzymaliście dwadzieścia pięć rubli. Czy drukarnia gotowa?

— Można już zaczynać.

— Kogo macie do składania?

— Towarzyszka Olga, znana towarzyszowi Komarowi i ja. Do maszyny towarzysz Stanisław... do roznoszenia, prócz nas, towarzyszka Helena.

— Co do ekspedycyi pisma otrzymacie wskazówki i towarzyszy... Samo składanie i ułożenie szłoby wam opornie i marnowalibyście dużo czasu, dajemy wam towarzysza Sikorę.

Jeden z uczestników, dość nikły blondyn, łysawy, z dużemi wąsami, wstał z krzesła i podał rękę Żaleckiemu:

— Mam czas codziennie od siódmej wieczorem. Przyjdę do was jutro, czekajcie na mnie w mieszkaniu.

— Pytajcie o Jana Pastę — objaśnił Żalecki.

— W tych dniach stróż miejscowy otrzyma pomocnika, naszego towarzysza, z tym umówcie się, Buczku — mówił mężczyzna szpakowaty — co do sposobu zawiadomienia nas, gdyby przyszła rewizya żandarmska. Możecie mu zawierzyć, to pewny towarzysz.

— Zdaje się, towarzyszu Kozaku — odezwał się Komar, patrząc na poprzedniego mówcę — że wyczerpaliście wskazówki co do bezpieczeństwa towarzysza Buczka; chciałbym spytać go o skrypta do gazety? Posyłaliście?

— Dziś rano był ktoś i pytał... obiecano na jutro... część pojutrze.

— To będzie kronika bieżąca, ale wstępny musi być z ogniem. Napiszecie, towarzyszu Kozaku?

— Dam towarzyszowi Sikorze.

— Do numeru — zaczął Bolek — ktoś mi wręczy jutro dwa tajne rozporządzenia generał-gubernatora... Jeden dokument dotyczy unitów... drugi wprowadzenia przymusowego „Oświaty" do mniejszych jadłodajni prowincyonalnych i herbaciarni ludowych.

Kozak zatarł ręce ze śmiechem:

— Wścieknę się... mojem zdaniem wystarczy na numer jeden tajny dokument. Nie idzie nam bowiem w tym razie o przeciwdziałanie, jak racze

o zamieszanie w kancelaryi, wzajemne podejrzywanie i wykazanie im i czytelnikom, jak dalece spisek jest rozgałęziony i jak wysoko sięga nawet w biurokracyi.

— Byłbym tego samego zdania — potwierdził Komar, co i inni uznali — a dużo macie papieru, Buczku?

— Dostarczono mi na dziesięć tysięcy egzemplarzy... formatu quarto, po pół arkusza druku.

— Towarzyszu Sikora — odezwał się Kozak — kiedy, waszem zdaniem, wyjdzie numer?

— Hm... cztery kolumny, druk drobny... zecerów jakby nie było, bo to pierwszaki... spodziewam się, że przez jutro czyli wtorek, środa, czwartek złoży się. Wieczorem puszczę na maszynę... w sobotę do południa na pewno skończymy.

— Czy nie za dużo czasu? — zrobił uwagę Komar.

— Liczcie, że muszę być w domu przed jedenastą, bo nie mogę zwracać uwagi stróżów i u siebie na Celnej, zostaje na robotę dwie godziny i coś więcej, a pomoc chę na, ale niezręczna.

— Dobrze... zatem w piątek można będzie zacząć ekspedycyę na Warszawę, towarzysze Rzeszoto i Płuczka obiecali się tem zająć — mówił Kozak — sam układ i tytuł zostawmy Buczkowi i Sikorze. Sprawę gazety uważam za wyczerpaną, nieprawdaż towarzysze?

Kwestya wojny, jak zwykle, poruszyła nadzieje, plany, spory. Zaczęli rozmawiać z ożywieniem, tylko Kozak wziął na bok towarzysza Skałę, który prowadził wykaz organizacyi i kasy i poczęli omawiać szczegóły.

Gospodarz poprosił wkrótce zebranych do stołu, do wspólnej, składkowej kolacyi.

XIII.

Żalecki i Walczak od wczesnego ranka zajęli się urządzeniem drukarni, o tyle o ile, pod względem hygieny i porządku.

Bolek, zdjąwszy ramę ze szybami z okna piwnicy, umocowywał rurę wentylatora który miał odprowadzać gorące od lamp i stęchłe z wilgoci, powietrze na zewnątrz, poprzez kratę okienka.

Stach zajął się porządkiem wewnętrznym, urządził rodzaj garderoby zasłoniętej, gdzie ustawił umywalnię, dzbanek z wodą i kubeł. Udeptywał zwilgotniałą ziemię przed kasztami, a widząc bezskuteczność, rozbił jedną pakę i tę część ziemi, na której stoi zecer, nakrył deskami.

Żalecki często spoglądał na zegarek, a widząc, że przychodzi czas spotkania Olgi, rzekł:

— Słuchaj, Stachu. Idę teraz po Olgę, ty zgaś lampę, zamknij piwnicę i pobiegnij po wędliny i chleb. Musimy robić honory drukarni naszej, a każ dać sobie dosyć, bo po pracy smakuje. Masz swoje?... To zapłać, porachujemy się.

Nie czekał zbyt długo i przywitawszy się, idąc w kierunku Piekarskiej, mówił do Olgi:

— Kamienica jest na rogu Celnej i Brzozowej. Możecie, Olgo, iść przez Bugaj, albo Miodową i Kapitulną, albo jak teraz idziemy, Piekarską... zresztą kupcie sobie plan Warszawy i zbadajcie sprawę. W każdym razie nie wracajcie tą samą drogą i dzień po dniu nie idźcie temi samemi drogami.

— Dobrze, już dobrze... cóż było wczoraj?

— Powzięto uchwałę w sprawie propozycyi rosyjskiej partyi i Bundu.

— Możecie mi powiedzieć?

Zawiadomił ją a kończąc:

— Wasze dokumenta zrobiły wielkie wrażenie, wszyscy podziwiali i uradzono, że takie dwa ananasy za wiele na jeden numer. Jedną tajemnicę ogłosimy w tym numerze, drugą w następnym.

— Czy może wymieniliście mnie? — spytała zaniepokojona.

— Cóż znowu? Określiłem ogólnikowo słowem „ktoś“, może tylko jeden Komar domyśla się, ale ten umie milczeć. A macie te papiery?

— Naturalnie.

— Czy zanotowaliście numer aktu? i datę?

— Od czegóż jestem córką urzędnika — zaśmiała się wesoło — a tytuł gazety?

— „Wolność!“ A teraz, Olgo, uwaga! Oto dom... wejście od Brzozowej... Wchodzicie i idziecie długą sklepioną sienią, wchodzicie na przyźmione, brudne podwórko i wchodzicie do szerszej sieni, zaraz na prawo jest wejście na schody piętrowe i do korytarza parterowego. W korytarzu, ostatnie drzwi na lewo, mieszkanie Jana Pasty, rysownika fabrycznego — skłonił się nisko przed Olgą.

— Jakto? wy Janem Pastą?

— Mogę wylegitymować się urzędowym paszportem, najformalniejszym, wydanym przez wydział... P. P. S.

— Rozumiem... zatem ostatnie drzwi na lewo?

— O ile wiem, mówiłem po polsku, a może użyłem innego języka? — uniewinniał się.

— Bolku, miejcie szacunek, jeśli nie dla tej kamienicy, to dla drukarni i nie żartujcie.

— Idę już, idę z głębokim szacunkiem, a wy, jak przystało cnotliwej niewieście, idźcie śladem męża... ale za kilka minut... do widzenia, Olgo.

Patrzała za nim uśmiechnięta, rozweselona, zakochana.

Gdy weszła, po przywitaniu się ze Stachem, obejrzała ciekawie pokój, doszukując się kaszt i maszyny.

— Gdzież drukarnia?

— My, koleżanko Olgo, mamy dwa apartamenty, nas stać na to... jeden na przyjęcie gości i zasłużony spoczynek, a drugi na pracownię.

— Gdzie?

— W dole... w piwnicy — objaśnił Stach — powalacie jasną sukienkę.

— Będę uważała...

— Zanim pójdziemy, musimy wpierw ustalić układ pisma, bo wprawdzie upoważniono towarzysza Sikorę i mnie do układu pisma, ale Sikora zrzekł się współdziału. Siadajcie, koleżanko... uważaj Stachu...

Zbliżyli się oboje do stolika, a Bolek wziął arkusz in quarto, formatu przyszłej gazety i mówił, rysując i pisząc:

— Zatem u góry numer, z drugiej strony data. Tytuł „Wolność“ w cienkich ramkach; następnie kolumna na dwie szpalty i artykuły. Czy dobrze?

— Ta „Wolność“, Bolku, wyskakuje z tła, razi... nie uważacie, koleżanko?

— Może wyda się tytuł lepszym, gdy będą większe litery?

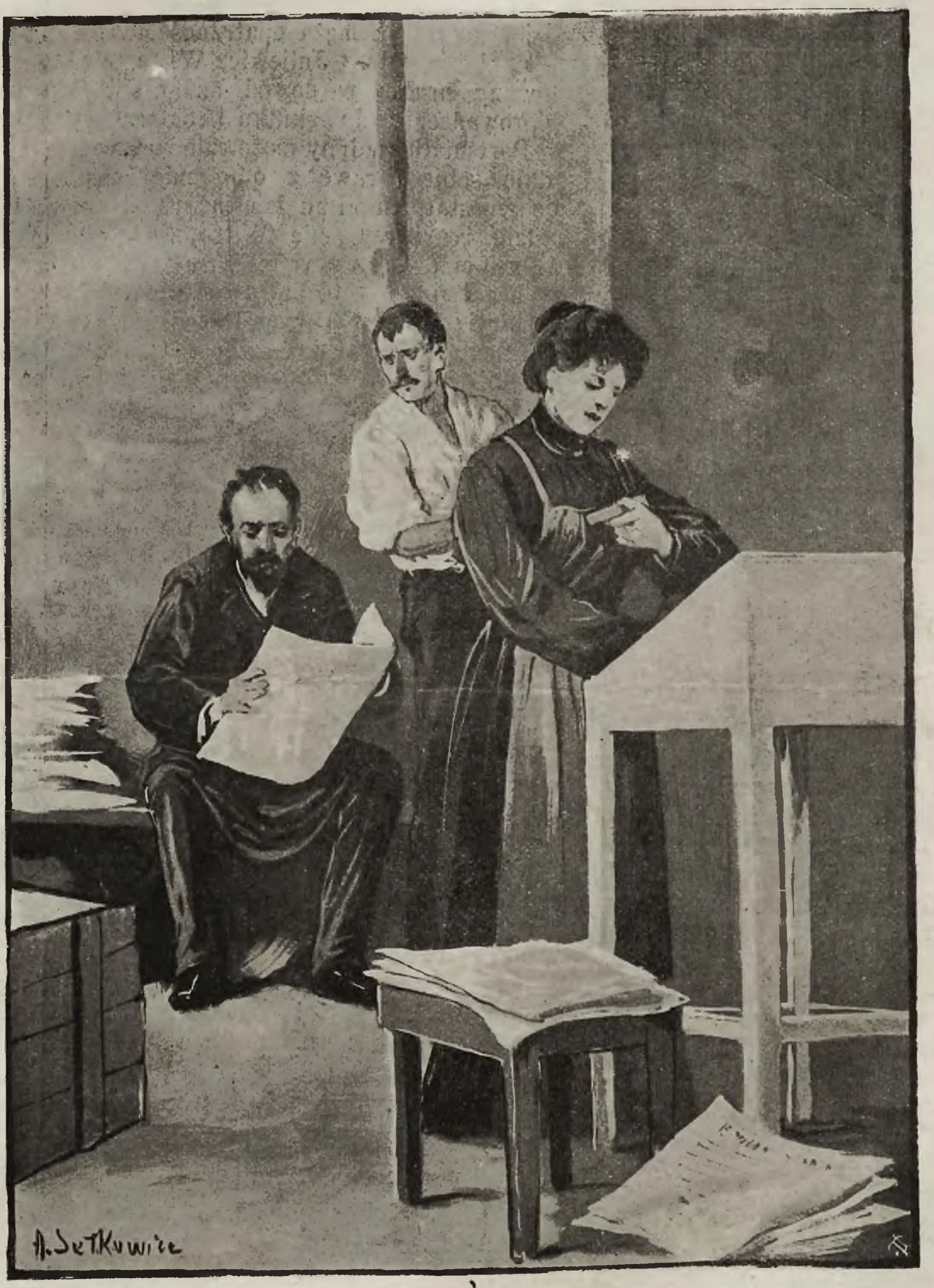
— To są nasze największe — powiedział Żalecki — innych nie mamy.

— A może tytuł wam się nie podoba, kolego? — spytała Olga.

— Nie... tytuł dobry, ale czegoś brakuje.

— A gdyby dodać motto jakieś? — przemówiła Olga po chwili.

— Motto, dobra myśl — zawołał Żalecki — bo tytuł oprze się na czemś, ale jakie motto wybrać?



...I stanęła przy kaszcie w wielkim fartuchu niebieskim, z zakasanemi po łokcie rękawami i poczęła składać.

— Posłuchajcie... dajmy czterowiersz z „Czerwonego Sztandaru“:

„Krew naszą długo leją katy,
Wciąż płyną ludu gorzkie łzy;
Nadejdzie jednak dzień zapłaty
Sędziami wówczas będziem my!“

— Wspaniale poradziłeś, Stachu! — zawołał rozpromieniony Bolek — ten wiersz jest uzupełnieniem tytułu. Czy nie tak, Olgo?

Walczak spojrzał na oboje trochę zdziwiony tą poufałością i uśmiechnął się ironicznie. Więc względem niego jest tak surowy, a sam romansuje z Olgą... dwie miary. Lecz wkrótce odrzucił podejrzenie, bo pewno oni kochają się, jak on z Heleną i są nieszczęśliwi, że nie mogą połączyć się ze sobą. Czy jednak są nieszczęśliwi? Ona taka rozpromieniona, żartuje, śmieje się a on ma żarty na ustach. Ich miłość musi być albo mniejsza, albo też inna.

Żalecki wykończył tytuł gazety, umieściwszy dwa wiersze z jednej, a dwa wiersze z drugiej i zawołał:

— Czy nie piękny tytuł?!

— Bardzo piękny..... ale chodźmy do drukarni. Zostawię tu mój kapelusz.

— O, nie!—powstrzymał ją Bolek. — Do Jana Pasty może przyjść rewizya, a do drukarni niekoniecznie trafi, po cóż zostawiać ślad za sobą?

— Tak, to słuszna uwaga — potwierdził Stach — a teraz idźcie sobie do drukarni, ja nie mam tam co robić, pójdę na reporterkę, Bolku.

— Dobrze, Stachu.. klucz w umówionem miejscu.

Zaprowadził Olgę, zachowując ostrożności, aby ktoś nie dostrzegł, na korytarz piwniczny, a gdy zapalił lampę, doznał oczekiwanej przyjemności, że Olga była mile zdziwiona urządzeniem i porządkiem.

— Tu mamy garderobę, nawet z lusterkiem dla was, Olgo... tu na pakach można doskonale wypocząć... a wentylator mego wynalazku.

— Podziwiam... — ale czas do roboty.... jakaż szkoda, że nie wzięłam fartuszka!

— Przeczułem to...... i kupiłem dwa, dla was i dla siebie.

— Pamiętaliście o mnie? — uśmiechnęła się.

— Jak zwykle, jak zawsze... A rękopismów niema?!

— Przyniosłam, bo przeczułam, że zapomnicie — zaśmiała się, podając mu papiery.

— Już przetłómaczone?! — i czytał z zajęciem, a gdy skończył — rozdzielimy ten o unitach na dwie części równe i kto skończy pierwszy?

— Zgoda — a widząc, że przystępuje do kaszty — nie wolno! Zaczekajcie na mnie! Muszę fartuch wł żyć.

— I ja także, a oczyma nie składa się, Olgo, tylko rękami. Sądziłem, że tyle przynajmniej skorzystaliście z lekcyi.

— Ile skorzystałam... przyszłość pokaże. Cóż tak guzdrzecie się? Do roboty!

I stanęła przy kaszcie w wielkim fartuchu niebieskim, z zakasanemi po łokcie rękawami i poczęła składać.

Jakiś czas pracowali w milczeniu, wreszcie odezwał się Bolek:

— Proszę o głos!

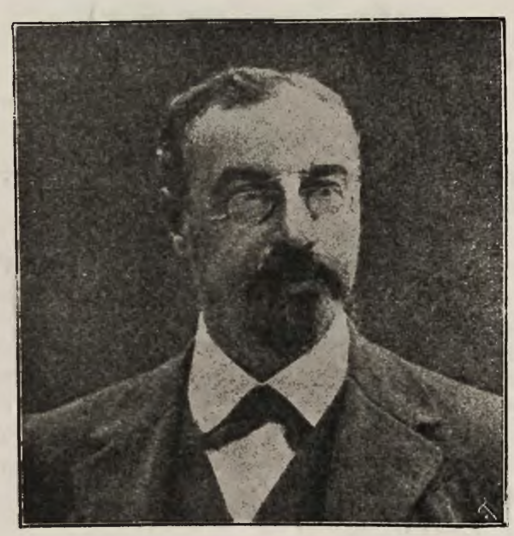
Olga z poważną miną pracowała w dalszym ciągu.

— Proszę o głos w sprawie formalnej!

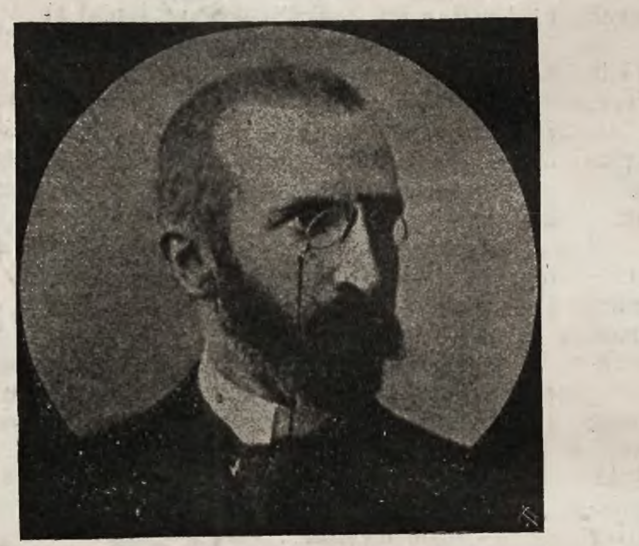
Uśmiechnęła się, lecz nie przerywała roboty.

— Proszę o głos w sprawie nagłej! C. d. n.

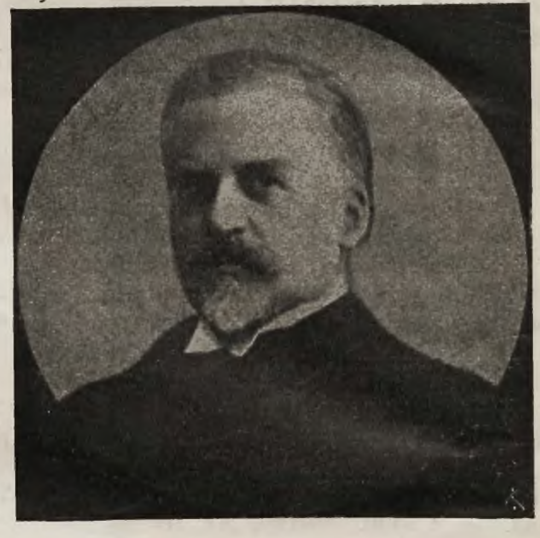
STERNICY TONĄCEGO OKRĘTU:



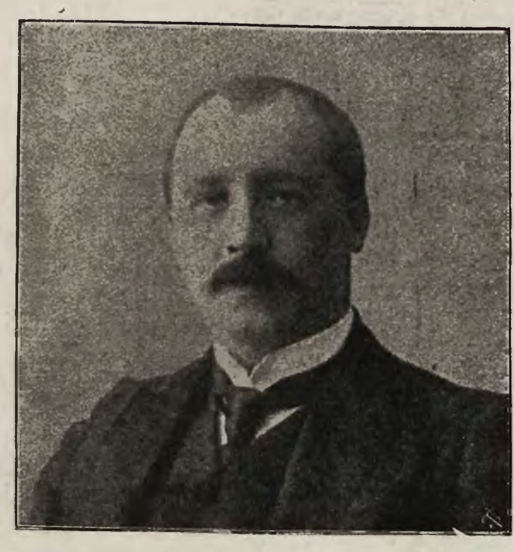
Hrabia J. J. Tołstoj, minister dla spraw włościańskich w gabinecie Wittego.



Timirjasew, minister handlu w gabinecie Wittego.



S. S. Manuehin, minister sprawiedliwości w gabinecie Wittego.



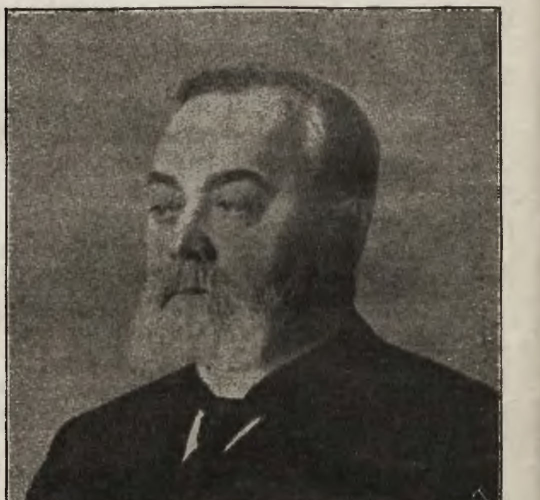
Iwan Szipow, minister skarbu w gabinecie Wittego.

Sternicy tonącego okrętu.

Rosyę obecną porównać można snadnie z okrętem, który, miotany burzą rewolucyi, kołysze się na wzburzonych falach dziejów i ostatnimi wysiłkami trzyma się na powierzchni. Sterowanie takim okrętem wymaga nie tylko nadzwyczajnej energii, ale również ogromnej łatwości oryentowania się w każdej chwili, w której niebezpieczeństwo, grożące ze wszystkich stron, naraz z jednej strony się wzmaga. A trzeba przyznać, że sternicy, jacy dzisiaj kierują nawą dziejów rosyjskiego imperyum, ani jednem ani drugiem się nie odznaczają.

Na czele rządów stoi obecnie mąż, którego cały świat uważa za męża opatrznościowego dla Rosyi. Jest nim Sergiusz Juliewicz Witte, niedawno mianowany hrabią, w dowód uznania za szczęśliwe doprowadzenie do skutku rokowań pokojowych w Portsmuth, jedyny może człowiek w Rosyi, który zdaje sobie sprawę z olbrzymiej ewolucyi, jaka się w ostatnich kilku miesiącach dokonała w narodzie rosyjskim. Ale Witte zbyt jeszcze ulega wpływom dworu, zbyt ostrożny jest w działaniu z obawy przed potężną jeszcze dzisiaj reakcyjną kamarylą, zbyt niepewny jest jeszcze swej mocy i dlatego w kilka dni po ogłoszeniu konstytucyi popełnił błąd, za który ciężko musi odpokutować. Błędem tym było zawieszenie stanu wojennego w Królestwie Polskiem, tej jedynej prowincyi rosyjskiej, która w godny sposób przyjęła konstytucyę, w której nie zaszedł ani jeden wypadek mordowania żydów. To było powodem, że wszystkie żywioły umiarkowane, które dotychczas gotowe były popierać Wittego, naraz straciły do niego zaufanie, bo któż mógł zaręczyć, że ten, który po ogłoszeniu konstytucyi rozciąga nad najbardziej kulturną prowincyą stan wojenny, nie okaże się powolnem narzędziem w ręku reakcyi i nie cofnie niedawno nadanej konstytucyi. Witte, ten główny sternik skołatanej nawy państwowej w Rosyi, musi więc teraz walczyć nie tylko z anarchią, ale i z uprzedzeniem, jakie sam sobie wyrobił wśród tych nawet, którzy zawsze byli gotowi go popierać.

Ministrowie, którzy obecnie dzierżą ster rządu w Rosyi, piastowali już dawniej, za rządów autokratycznych, wysokie godności w życiu publicznem. Timirjasew, obecny minister handlu, był dawniej pomocnikiem ministra skarbu; zdolności swoje dyplomatyczne okazał w całej pełni przy doprowadzeniu do skutku traktatu handlowego między Ro-



C. Nemeszajew, minister kolei w gabinecie Wittego.

syą a Niemcami, co było prawie wyłączną jego zasługą.

Minister skarbu, Iwan Szipow, znany jest z długoletniej, owocnej w plony pracy, kiedy jeszcze był przewodniczącym ziemców gubernii moskiewskiej. Z powodu liberalnych przekonań i sympatyi, jaką się Szipow cieszył wśród ziemców, powołał go Witte do swego gabinetu, aby w ten sposób pociągnąć ziemców ku sobie i zyskać przynajmniej częściowe ich poparcie.

Manuchin, obecny minister sprawiedliwości, piastuje obecną godność już od maja b. r, tj. od czasu, kiedy car jeszcze ani nie myślał o nadaniu konstytucyi. Uchodzi również za bardzo zdolnego i światłego męża stanu.

Minister dla spraw włościańskich hrabia J. J. Tołstoj, syn genialnego Lwa Tołstoja z Jasnej Polany, były wiceprezydent akademi sztuk w Petersburgu, nie miał sposobności dotychczas rozwinąć swych zdolności i występuje na tem stanowisku jako *homo novus*.

W uzupełnieniu artykułu podajemy obok portrety wyżej wymienionych mężów stanu, dzierżących obecnie wraz z Wittem ster rządów w Rosyi.

Z dni grozy w Kronsztadzie.

Bunt marynarzy w Kronsztadzie miał, jakeśmy to już zaznaczyli na innem miejscu, charakter bardziej rozruchów, aniżeli świadomej celu rewolucyi wojskowej. Marynarze bowiem, zbuntowawszy się z błahych powodów, dopuszczali się ekcesów, które by się nie powstydziły owe słynne „czarne sotnie“, jakie się tak krwawo zapisały na kartach historyi ostatniego miesiąca.

Marynarze kronsztadzcy, wdarłszy się do magazynów wojskowych, zdobyli znaczną ilość broni i amunicyi. Nie poprzestali jednak na zdobyciu tych środków obrony; wdarli się bowiem potem do składów z wódką, zniszczyli sklepy monopolowe i zaczęli biwakować, nie szczędząc sobie napojów gorących. Takie biwaki i ucztowania w zburzonych sklepach i na ulicach przed nimi, trwały przez dwa dni, kiedy wreszcie oszołomieni powodzeniem i rozszaleli wskutek opicia się, rozpoczęli dopiero ekscesy; wdzierali się do domów najspokojniejszych obywateli, rabowali mieszkania, niszczyli mienie i dobytek ludzi, którzy im nic nie zawinili. Co chwila rozlegały się na ulicach strzały, co krok



Z dni grozy w Kronsztadzie: Widok domu, należącego do angielskiego dyplomaty, podpalonego przez zbuntowanych marynarzy.

widać było ciężko rannych, przeszytych nieraz kilku kulami naraz.

Ale nie skończyło się na tem. Zbuntowani marynarze, podnieceni alkoholem i widokiem krwi, zwrócili ogień swych dział na domy, niszcząc nie tylko gmachy rządowe, ale nawet budynki ludzi, którzy bardzo często nawet sympatyzowali ze zbuntowanymi. Między innymi podpalili marynarze dom, należący do pewnego Anglika, członka ambasady angielskiej w Petersburgu i zniszczyli go tak, że zeń jeno gruzy pozostały.

W uzupełnieniu artykułu podajemy obok ilustracyę, przedstawiającą widok palącego się domu owego Anglika.

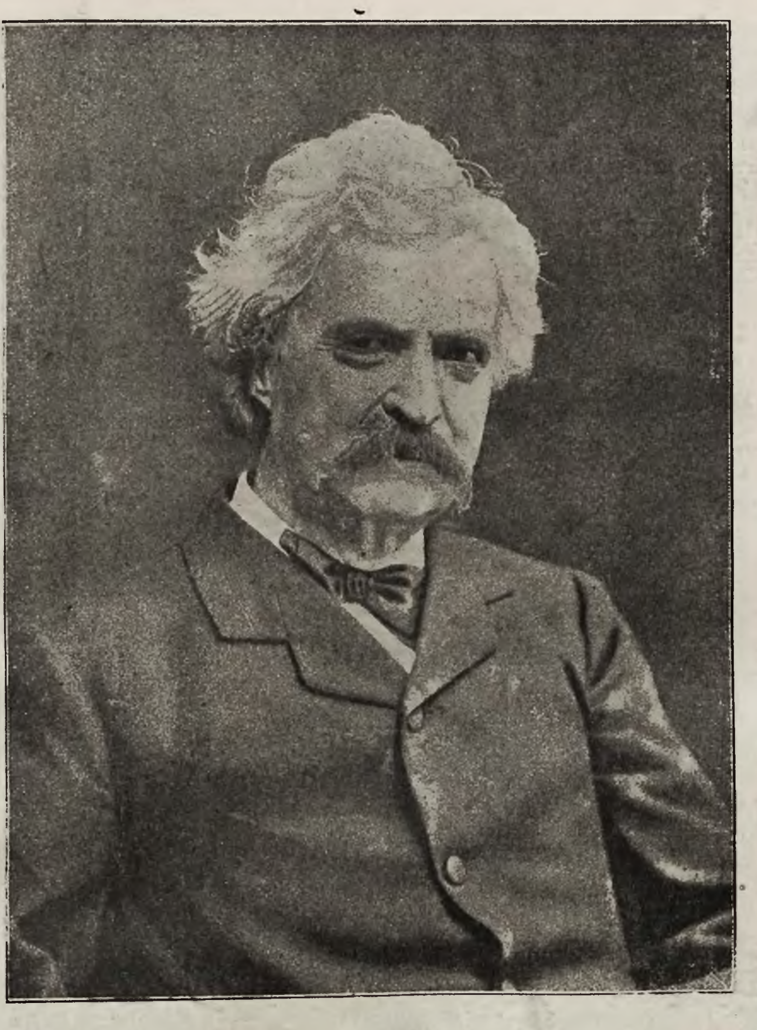
Mark Twain.

Niewielu wybranym losy róże ścielą od stopy. Jednostki wybitnie samodzielne, dla których walka z widmem przeciętnej banalności stała się od lat dziecinnych najniezbędniejszą życia potrzebą nie zwykły zadawalniać się niewolniczem hołdowaniem jednej tylko myśli przewodniej, lecz przeciwnie, próbując sił swoich w rozmaitych kierunkach, dochodzą w końcu do celu, dzięki rzetelnej znajomości ludzi, świata, jego zalet i wad.

Któż z przeciętnie oczytanych nie zna utworów Mark Twain'a? Ileż to wesołych wrażeń, ileż wybuchów serdecznego śmiechu spowodowały arcydzieła tego niedoścignionego talentu! A jednak ten władca w królestwie humoru przebył cierniami zasłaną drogę życia, zanim doszedł do względnego dobrobytu i zasłużonego spokoju na starość.

Samuel Langhorne Clemens urodził się w roku 1835 we Florydzie, w stanie Missouri, jako syn Johna Clemensa, sędziego pokoju. Długo wędrował po Stanach Zjednoczonych, zanim, doszedłszy do pewnej sławy, przybrał pseudonim „Mark Twain“, którego to wyrażenia używają majtkowie amerykańscy, gdy statek osiada na mieliźnie. Mały Sam nie cierpiał książek, nie chodził do szkoły, lecz całemi dniami bujał po polach i lasach, aż po śmierci ojca wstąpił jako praktykant zecerski do drukarni. Niedługo trwało to jego zajęcie, po licznych bowiem wędrówkach wstąpił jako majtek na statek, kursujący po rzece Missisippi. W wojnie między Stanami północnemi a południowemi, walczył po stronie tych ostatnich, przyczem, dostawszy się do niewoli, za pomocą ucieczki uratował życie. Do roku 1862 pracował jako zwykły robotnik kopalniany, poczem przypadkowo otrzymał zajęcie w lichej gazetce, wychodzącej w Virginia City. Tam pojawiły się jego pierwsze szkice humorystyczne. Nie mogąc jednak utrzymać się ze skromnego wynagrodzenia przeniósł się do San Francisco, gdzie pracował kolejno w kilku dziennikach. Jakiś czas był nawet samodzielnym wydawcą, lecz skutkiem braku powodzenia wywędrował do kopalń złota, spragniony łatwego zarobku. Gdy jednak szczęście mu nie sprzyjało, postanowił urządzać odczyty swych szkiców humorystycznych. W tym okresie szczęście mu pierwszy raz dopisało. Odczyty miały wielkie powodzenie, zaś pierwsze książkowe wydanie jego szkiców rozchwytanem zostało w mgnieniu oka. Niebywałe powodzenie osiągnął opisem humorystycznym swej pierwszej podróży do Europy. Od tej chwili dzieła jego stały się popularnemi na obu półkulach. Jego „Zbiór szkiców“, „Birbant w podróży“, oraz: „Książę i żebrak“ należą do arcydzieł literatury humorystycznej. Cechy charakterystyczne jego dzieł, to swobodne, różne zapatrywanie się na życie, dowcip groteskowy, lecz nie trywialny, wreszcie satyra niezwykle trafna i cięta.

W roku 1884 losy zwróciły się ponownie przeciw niemu. Firma wydawnicza Webster i Comp. — założona przez niego w Nowym Yorku, zbankrutowała, wobec czego Mark Twain dla zaspokojenia wierzycieli przedsięwziął podróż po Ameryce i Europie, zyskując swemi odczytami sławę i pieniądze. W tym czasie rozeszła się pogłoska o jego śmierci; na odnośną wiadomość pewnej niemieckiej gazety Mark Twain wysłał depeszę tej treści: „Wiadomość o mojej śmierci mocno przesadzona“. Ostatniemi czasy stosunki jego się poprawiły, obecnie zaś, mimo 70 lat wieku, pracując bez przerwy, mieszka w uroczej miejscowości Hartford, w stanie Connecticut.



Mark Twain: Słynny humorysta amerykański Clemens, znany pod pseudonimem Marka Twaina.

Sztandar kuchmistrzów.

Istnieje we Lwowie od lat wielu towarzystwo „Zgoda“, gromadzące w swem łonie prawie wszystkich członków zawodu kucharskiego. Towarzystwo to sprawiło niedawno piękny sztandar, którego poświęcenie odbyło się w uroczysty sposób w ubiegłą niedzielę.

Sztandar ten, wykonany w pracowni jednego z żeńskich klasztorów we Lwowie, przedstawia się bardzo okazale. Na tle amarantowem widnieje po jednej jego stronie obraz Wieczerzy Pańskiej, po drugiej portret św. Idziego.

Uroczystość poświęcenia rozpoczęła się nabożeństwem w kościele archikatedralnym, dokąd przybył komitet i wydział „Zgody“ w komplecie oraz zaproszeni goście. Nabożeństwo odprawił ks. infułat Lewicki, który następnie dokonał aktu poświęcenia sztandaru i wbił pierwszy gwóźdź w jego drzewce. — Z kolei ceremonię tę powtórzyli uproszeni przez komitet rodzice chrzestni, wśród których byli: namiestnikowa Krystyna hr. Potocka, Włodzimierzowa hr. Dzieduszycka, ks. Jerzy Czartoryski, wiceprezydent dyrekcyi skarbu p. Korytowski, oraz wiele osób ze sfer mieszczańskich, wreszcie delegaci bardzo wielu towarzystw.

Po uroczystości poświęcenia sztandaru udali się członkowie towarzystwa „Zgoda“ w pochodzie do lokalu towarzystwa młodzieży rękodzielniczej „Skała“. Pochód ten był bardzo piękny prócz nowego sztandaru kuchmistrzów bowiem, niesiono na jego czele cały szereg sztandarów innych towarzystw lwowskich.

W „Skale“ odbyła się uroczysta uczta, a że była ona wyśmienitą, zbyteczna chyba dodawać. Podczas niej wygłoszono szereg toastów, z których na szczególną wzmiankę zasługuje przemówienie p. Kiljanowskiego, ze względu na poruszone w niem patryotyczne kwestye.

W uczcie tej, w całej uroczystości wzięli udział delegaci towarzystw kucharskich z Wiednia i Krakowa. Mieli przybyć także delegaci kuchmistrzów



Fotografował M. Münz. Lwów.

Sztandar kuchmistrzów: Grupa uczestników przy uroczystości poświęcenia sztandaru Towarzystwa kucharzy „Zgoda“ we Lwowie.

warszawskich, ale nie puszczono ich przez granicę. Wiadomość o tem wywołała wśród uczestników uroczystości szczery żal.

W numerze dzisiejszym podajemy zdjęcie fotograficzne grupy uczestników uroczystości.

Jerzy I., król grecki.

Niezwykłe zaciekawienie w sferach politycznych budzi wizyta króla greckiego Jerzego w Wiedniu. Przyjazd władcy jednego z państw bałkańskich do stolicy Austro-Węgier w chwili, kiedy floty mocarstw demonstrują pod wyspą Mytilene, to nielada senzacya dla tych, co pragną raz nareszcie dowiedzieć się, czyja flaga powiewać będzie w mniej lub więcej dalekiej przyszłości, jeśli już nie z wieżyc stambulskich meczetów, to przynajmniej z urzędowych gmachów aż do znudzenia wrzącej Macedonii. Dyplomacya europejska, ogromnie cierpliwa i ogromnie milcząca, nawet wtedy, gdy już wszystkie dzienniki jej tajemnicę wyśpiewały, stała się bezradną wobec jeszcze cierpliwszego od niej sułtana, który dobrze wie, że zwłaszcza północny jego sąsiad o własnej skórze obecnie dużo więcej myśli, niż o cudzej. Król grecki nie po to jeździł do Londynu i Wiednia, aby spełnić akt zwykle praktykującej się w sferach monarszych etykiety. W ciągu jego 40-letniego z górą panowania, sąiedztwo półksiężyca dostarczyło mu niejednego powodu do słusznych narzekań. Obecnie pragnie zbadać dokładnie ilość politycznej szczerości i stanowczości w Londynie i w Wiedniu i to.... u samej góry. Jakim będzie wynik jego badań, niedaleka przyszłość okaże.



Jerzy I. król grecki: Grecka para królewska

Jerzy I., król Hellenów, urodził się w roku 1845 w Kopenhadze, jako drugi syn króla duńskiego Krystyana, t. zw. dziadka Europy. Na tron grecki wstąpił jako ośmnastoletni młodzieniec; w r. 1867 ożenił się z wielką księżną rosyjską Olgą. W ciągu panowania swego, trzymając się ściśle zasad konstytucyjnych, okazał wiele energii i siły woli, zwłaszcza w kierunku podniesienia ekonomicznego stanu kraju, oraz w sprawie tępienia band zbójeckich, grasujących do niedawna w Grecyi z zastraszającą zuchwałością. Dzięki rozumnej polityce zdołał również uzyskać przyłączenie do Grecyi wysp Jońskich, części Thessalii i Epirusu. Stanowczego rozwiązania kwestyi, dotyczącej Krety, dotychczas osiągnąć nie zdołał. W swoim kraju cieszy się ogólną sympatyą, której dowodów doznał najwyraźniej z okazyi nieudanego zamachu, dokonanego na jego osobę przed kilku laty w Atenach.

W uzupełnieniu artykułu podajemy obok portret króla Jerzego wraz z żoną.

Zawody kościuszkowskie w Sokole podgórskim.

Jest zwyczajem, w naszych gniazdach sokolich tradycyjnie zachowywanym, że rokrocznie urządza się zawody, tak zwane kościuszkowskie, będące pewnego rodzaju popisem zręczności i siły ciała, z którymi w parze idzie zwykle siła ducha w myśl starego przysłowia: „w zdrowem ciele — zdrowy duch". Zwyczaj to bardzo piękny, to też w zawodach kościuszkowskich bierze udział przeważna ilość druhów, którzy walczą o zwycięstwo; zawody to w całem tego słowa znaczeniu szlachetne; chodzi w nich głównie o zdobycie dyplomu, będącego jedyną nagrodą za zwycięską walkę. Rozdawanie dyplomów połączone jest więc z uroczystością, która w gniazdach sokolich gromadzi zazwyczaj wszystkich druhów z rodzinami.

I w Sokole podgórskim, mającym wśród wszystkich gniazd sokolich zasłużone zupełnie uznanie, odbyły się w tym roku w dniach 20, 22 i 27 października, zawody kościuszkowskie, których wynik był następujący:

W biegu na sto, oraz na tysiąc metrów zwyciężył druh Edward Bobulski, w skoku na wysokość (1 metr 30 cm. z odbiciem z ziemi) zwyciężył druh Stefan Gieczołd; w skoku w dal (4 metry z odbiciem z ziemi) i ćwiczeniach na koniu druh Henryk Karaś; w ćwiczeniach na drążku i poręczach uznano zwycięzcą druha Władysława Rogalskiego; w ćwiczeniach na kółkach druha Jana Krajewskiego; w zapasach został zwycięzcą druh Stefan Gieczołd. W dźwiganiu ciężarów wreszcie zdobył pierwszeństwo druh Władysław Rogalski, podniósłszy ciężar, ważący 49 klg. dwadzieścia jeden razy z ziemi w pion nad głowę.

Obowiązki sędziów pełniło przy zawodach podgórskie grono nauczycielskie. Jako nagrodę otrzymali zwycięzcy fotografie własne, które stanowić będą dla nich miłą na przyszłość pamiątkę.

Dnia 7-go b. m., to jest w ubiegły czwartek odbyła się w Sokole podgórskim uroczysta wieczornica sokola, w czasie której prezes dr. Józef Emilewicz wręczył zwycięzcom w zawodach kościuszkowskich dyplomy.

W uzupełnieniu artykułu podajemy obok fotografię, przedstawiającą wszystkich zwycięzców w tegorocznych zawodach kościuszkowskich w Sokole podgórskim. — Na fotografii tej zwycięzcy stoją w następującym porządku, patrząc od strony lewej: 1. Karaś Henryk, 2. Rogalski Władysław, 3. Gieczołd Stefan, 4. Bobulski Edward, 5. Krajewski Jan. W środku siedzi naczelnik Sokoła podgórskiego p. Nowak Jan.



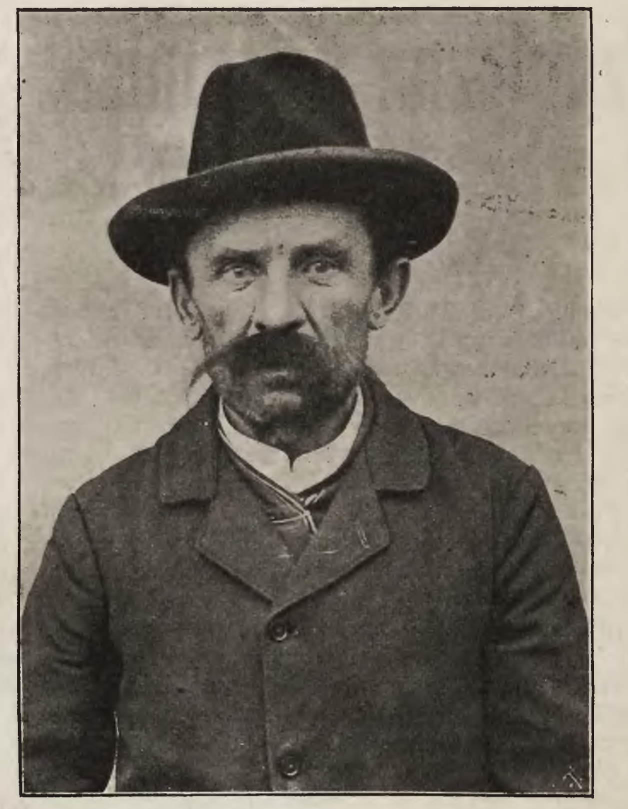
Zawody kościuszkowskie w Sokole podgórskim: Zwycięzcy w tegorocznych zawodach kościuszkowskich.

Lwowska Humbertowa.

Przed lwowskim sądem przysięgłych toczyła się w ubiegłym tygodniu interesująca rozprawa przeciw szajce oszustów, zorganizowanej bardzo pomysłowo, której członkowie byli przez prokuratoryę o to oskarżeni, że pod fałszywemi nazwiskami zaciągali pożyczki wekslowe w rozmaitych lwowskich instytucyach finan-



Fotografował M. Münz, Lwów.
Lwowska Humbertowa: Marya Wituszowa, skazana za wekslowe oszustwa na 6 lat ciężkiego więzienia.



Fotografował M. Münz Lwów.
Lwowska Humbertowa: Tomasz Boznański, główny pomocnik Witeuszowej, skazany na 6 lat wiezienia.

sowych. Interesującą była ta rozprawa przedewszystkiem z tego powodu, iż na czele owej bandy fałszerzy weksli stała kobieta i to kobieta o niezmiernie nizkim poziomie inteligencyi, analfabetka, bardzo jednak sprytna.

Przybrawszy sobie do pomocy grono osób ze swej sfery, przedmieszczan z Zamarstynowa i Kleparowa, wnosiła Marya Witeuszowa — tak się owa kobieta nazywa — podania do lwowskich banków o pożyczki. Wnosiła je oczywiście pod nazwiskiem przybranem i podając się za właścicielkę realności; tak samo fałszywie podawała nazwiska rzekomych ręczycieli. W przeważnej części wypadków dyrekcye banków, nie mając powodów do odmowy, pożyczek przyzwalały, a wówczas Witeuszowa zapraszała dwóch członków swej szajki, przedstawiała ich w banku jako owych „solidnych“ ręczycieli, następowało podpisanie weksla lub skryptu dłużnego, oraz wypłata pieniędzy. Z tych pieniędzy oddawała Witeuszowa pewną drobną część swym „ręczycielom“ za fatygę — resztę zaś zabierała dla siebie.

Jednym z głównych jej pomocników był Tomasz Boznański, podmajstrzy ciesielski; jego używała Witeuszowa nie tylko jako ręczyciela, ale w niektórych razach polecała mu wnosić podania, ona sama zaś występowała wówczas jako ręczycielka. Nazwiska przybierali członkowie szajki najrozmaitsze, wybierając ludzi zamożnych, ale nie znanych.

Akt oskarżenia, jaki prokuratorya wytoczyła w tej sprawie, stanowił gruby tom, a na oznaczenie pojedynczych faktów oszustwa zużyto cały alfabet wielkich liter i znaczną część liter małych. Wobec zaś pozbieranych skrzętnie dowodów winy podsądnych, wyrok zasądzający nie mógł ulegać wątpliwości. Wprawdzie Witeuszowa i Boznański twierdzili, że pieniądze pożyczone mieli zamiar zwrócić, zapewnieniom tym jednak przysięgli nie dali wiary i uznali ich winnymi. Taki sam los spotkał trzech podrzędnych członków szajki. Trybunał zasądził Witeuszową i Boznańskiego na karę ciężkiego więzienia po sześć lat, innych zaś na kilkumiesięczne więzienie. Czteru oskarżonych sąd uwolnił.

W numerze dzisiejszym zamieszczamy w uzupełnieniu tego artykułu portrety Witeuszowej i Boznańskiego.

Pół miliona za kamienicę we Lwowie.

Jak niesłychanie poszła w ciągu ostatnich lat w górę cena realności w dużych miastach, dowodzi fakt, iż w ubiegłym tygodniu zapłacono za jednę z kamienic we Lwowie 540.000 kor., a więc przeszło pół miliona. Kamienica ta nie odznacza się żadnemi zaletami architektonicznemi, wartość jej zaś polega tylko na położeniu w centrum miasta, bo przy placu Maryackim, oraz w ogromnych rozmiarach. Ma ona mianowicie cztery fronty. Zbudowana przed laty około czterdziestu przez zbór ewangielicki, przeszła w roku 1870 na własność rodziny Wieczyńskich za cenę 74.000 złr. Obecnie nabyli ją od spadkobierców śp. Wieczyńskich pp. Jakób i Aleksander Lewiccy, właściciele znanego w całym kraju handlu szkła, porcelany i majoliki, pod firmą „Kazimierz Lewicki“.

Magazyn pp. Lewickich jest też prawdziwą ozdobą owej olbrzymiej kamienicy. Mieści się w niej od lat niespełna dwóch. Dawniej znajdował się przy ul. Trybunalskiej pod tąsamą firmą. A firma to jedna z najstarszych we Lwowie. Założona w r. 1845 przez Kazimierza Lewickiego, przeszła następnie na jego syna Jakóba Kazimierza, który choć z zawodu prawnik i kierownik jednego z towarzystw asekuracyjnych, prowadził handel wzorowo. Właściwy rozwój tego prawdziwie europejskiego handlu datuje się od chwili, kiedy objęli go dwaj synowie ś.p. Jakóba Lewickiego, a wnukowie założyciela firmy, pp. Jakób i Aleksander Lewicki. Obaj absolwowani słuchacze akademii handlowej w Pradze, wykształceni nadto praktycznie w Berlinie i Paryżu, oddali się z całym zapałem pracy zawodowej. Nie ograniczając się na handlu, założyli we Lwowie fabrykę majoliki oraz zakład malowania na porcelanie. Chcąc zaś wyroby swe, pod każdym względem przewyższające wyroby zagraniczne, spopularyzować w kraju, urządzili przed trzema laty ruchomą wystawę, z którą objechali 36 miast galicyjskich.

W numerze dzisiejszym podajemy zdjęcie fotograficzne kamienicy, o której wyżej piszemy.

Jubileusz kapelmistrza.

Dwadzieścia pięć lat wytrwałej i energicznej pracy na polu muzyki, pracy uwieńczonej rezultatami bardzo pięknymi, to niemały tytuł do uznania. Z przyjemnością więc czynimy zadość obowiązkowi, jeżeli uznanie to wyrażamy publicznie tak zasłużonemu kapelmistrzowi, jak p. Antoniemu Langerowi w Bochni.



Fotografował W. Gurgul Bochnia.
Jubileusz kapelmistrza: Antoni Langer, kapelmistrz bocheńskiej orkiestry salinarnej.

P. Langer, obchodzący dzisiaj 25-letni jubileusz swej pracy muzycznej, jest kapelmistrzem bocheńskiej orkiestry salinarnej. Zaproszony do objęcia kierownictwa tej orkiestry przed 25 laty przez ówczesny Zarząd salinarny w Bochni, na którego czele stał, dzisiaj już emerytowany, starszy radca górniczy p. Sylwery Mischke, wielki zwolennik muzyki, przybył p. Langer, licząc zaledwie 25 lat zaraz po ukończeniu konserwatoryum w Pradze do Bochni, gdzie go nie łatwe czekało zadanie zorganizowania orkiestry. Zadanie to spełnił p. Langer z właściwą sobie energią tak doskonale, że stworzył, rzec można, naturalnie w granicach środków, jakie były do rozporządzenia, znakomitą orkiestrę tak dętą jak smyczkową, która wkrótce zdobyła sobie markę w całym kraju.

Nie ograniczył się jednak p. Langer na wyszkoleniu salinarnej orkiestry. Pracował zawsze i pracuje ciągle wszędzie, gdzie chodzi o szerzenie kultu muzyki. On to organizuje i prowadzi chóry amatorskie, z których „Lutnia“ mogła się swego czasu liczyć do najlepszych towarzystw śpiewackich w kraju. Zorganizował i prowadzi orkiestrę gimnazyalną, jest nauczycielem muzyki i śpiewu w gimnazyum i w żeńskiej szkole wydziałowej.

(Dalszy ciąg na stronie 12).



Pół miliona za kamienicę we Lwowie: Kamienica przy placu Maryackim we Lwowie nabyta za 540.000 koron przez pp. Lewickich. (Fotografował M. Münz Lwów.)

J. HAWTHORNE.

Tragiczna tajemnica.

Z upoważnienia autora z angielskiego przełożył J. R.

I.

W ciemnościach.

Około roku 1881 począł się zachodni koniec ulicy Wolności w Nowym Jorku rozszerzać i przybierać wielkomiejski wygląd. Na miejscu małych, niskich domków, pozostałych z dawnych lat, zaczęto coraz częściej budować okazałe gmachy, wysokie, foremne, według wszelkich wymagań nowoczesnej architektury.

Kto choć trochę zna sposób zabudowywania wielkich miast Ameryki, może sobie łatwo wyobrazić, że ten wielkomiejski wygląd, jaki poczęła przybierać ulica Wolności, nie odpowiadał w zupełności albo przynajmniej bardzo mało wymogom estetyki. Jakkolwiek bowiem wielkie, wysokie domy, wszystkie na jednę modłę budowane, mogą być bardzo praktyczne i stanowić ozdobę miasta, to jednak o wiele bardziej malowniczo przedstawiają się nieforemne, niskie domki, jakie spotykać można dzisiaj jedynie w małych miasteczkach. Leży to już w naturze ludzkiej, że wolimy patrzeć na rozmaitość, a nie lubimy jednostajności. Pomimo to jednak nieprzyjemnie uderza nas widok starego, niskiego domku, ściśniętego ze wszystkich stron olbrzymiemi kamienicami.

W najstarszym i bez kwestyi najmniej stylowi czasów dzisiejszych odpowiadającym domu na zachodnim końcu ulicy Wolności znajdował się francuski wyszynk wina. Naokoło tej małej gospody rozsiadła się bowiem kolonia Francuzów. W każdy dzień wieczorem można było kolonistów widzieć w starej szynkowni, jak, siedząc grupkami przy stołach i stolikach, popijali wino, grali w domino i rozprawiali o najrozmaitszych sprawach, żywo przytem, według swego zwyczaju, gestykulując.

Winiarnia mieściła się w drewnianym, dwupiętrowym budynku, który z jednej strony przytykał do olbrzymiej kamienicy, z drugiej do dziedzińca, zawalonego deskami, belkami i rozmaitemi rupieciami. Dziedziniec ten należał bowiem do handlarza drzewem. Front domu ozdobiony był werandą, sądząc z jej urządzenia, przed wiekami jeszcze zbudowaną, z drugiej zaś strony, od dziedzińca, przyczepiona doń była przybudówka, coś w rodzaju altany. W oknie wystawowem szynkowni stało mnóstwo flaszek z winem rozmaitego gatunku i rozmaitej marki, a ponad flaszkami zwieszała się suto zieleń, którą okno przystrojono. Powieść nasza zaczyna się bowiem w czasie między Bożem Narodzeniem a Nowym Rokiem, kiedy zwykle wszystkie domy w Ameryce są ozdobione zielenią.

Niskie, wąskie, od góry do połowy oszklone drzwi zamykano na noc jedynie na prostą zasuwkę; poczciwy właściciel winiarni był widocznie przekonany, że złodzieje nie będą się łakomić na drobną zdobycz, jakąby mogli uzyskać. Z małej sionki wchodziło się na lewo do niedużej, ale czystej, ładnemi tapetami wybitej izby, której jednę ścianę zajmowała szynkownia, przy drugiej stało kilka małych stolików. Druga izba, znacznie większa, stanowiła właściwą gospodę. Był tam jeden wielki i kilkanaście małych stolików, obok których naturalnie były krzesła dla gości, wzdłuż ścian stały rzędem na półkach flaszki z winem, a w rogu pokoju znajdowała się duża beczka z piwem. Na ścianach zawieszono też kilka oleodruków, mających być cenną ozdobą gospody.

W sieni, tuż obok wejścia do szynkowni, były schody, prowadzące na pierwsze piętro, gdzie od frontu znajdował się pokój sypialny gospodarzy, to jest właściciela winiarni i jego żony, od tyłu zaś sypialnia ich dzieci. W dużej piwnicy złożone były beczki z wina, paki i rozmaite rzeczy, których w szynkowni nie potrzebowano. Wogóle winiarnia robiła nawet dosyć miłe wrażenie, ale dom cały zanadto tchnął starożytnością. Fundamenty były już dobrze zarysowane, w niektórych miejscach nawet już się zapadły, dyle pod podłogą trzeszczały okropnie, jeśli ktokolwiek szedł po nich, słowem, zdawało się, że wkrótce nadejdzie dzień, w którym się ta stara rudera zawali. Na razie jednak gospoda była jeszcze bardzo uczęszczaną, bo wino było w niej dobre i nie drogie.

Ruch w tej części miasta był jeszcze bardzo mały, zaledwie dochodziły tutaj odgłosy ruchu, jaki ożywiał ulice śródmieścia. W szynkowni można było słyszeć od czasu do czasu dudnienie kolei napowietrznej, dźwięk dzwonków tramwaju konnego, ale zdawało się, że są to odgłosy z bardzo daleka. Mała winiarnia, o której mówimy, była, można rzec „poza wielkim światem“ i aż do rana dnia 30 grudnia 1881 r. na kilkumilionową ludność Nowego Jorku wiedziało może stu ludzi tylko, że Ludwik Hanier wogóle żyje na świecie i prowadzi handel winny w starej ruderze, ostatnim domu przy ulicy Wolności. Tego dnia dopiero rano zaczęto się nagle, jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, interesować w całym Nowym Jorku skromną gospodą; nazwisko Hanier było na ustach wszystkich; kto żył tylko, ten rozprawiał z żywością o Ludwiku Hanier, a wszystko to dlatego, że poczciwy właściciel winiarni w nocy z 29 na 30 grudnia w tajemniczy sposób zeszedł ze świata.

Noc na 30 grudnia była nadzwyczaj ciemna, do tego deszcz lał nieprzerwanie. Nic dziwnego, że wobec takiej niepogody, pomimo, że to był tydzień świąteczny, na ulicach nie było ani jednego człowieka. Goście Ludwika Haniera również prędzej jak zwykle rozeszli się do domów, a on sam, czując się dosyć zmęczonym, zamknął gospodę wcześniej. Około jedenastej w nocy już był w łóżku i usnął, rad, że może przez kilka godzin wypocząć i wyprostować znużone członki. Musiał spać dobrze i śnić słodko, boć to był ostatni sen w jego życiu, a Hanier był nazbyt uczciwym, nazbyt dobrym człowiekiem, aby mu sumienie spać nie dawało.

Jednak nie spał długo. Może była godzina pierwsza po północy, kiedy żona jego nagle się przebudziła. Co to było? — Z początku nie chciała budzić męża, usiadła więc na łóżku i słuchała.

W takim starym, ruiną grożącym domu, można słyszeć rozmaite szmery, zwłaszcza w czasie burzy. Może belki i dyle trzeszczały, może też myszy uganiały po podłodze. Do takich szmerów, które wprawdzie mogły przestraszyć obcego, pani Hanier była już przyzwyczajona. Ale dzisiaj ten szmer wydał się jej innym i ogarnęło ją jakieś dziwne uczucie, jakaś nieokreślona trwoga z powodu urojonego może niebezpieczeństwa. Matka, mająca sześcioro dzieci, żona, kochająca swego męża, jest czujniejszą i ma bardziej subtelne zmysły, jak inni ludzie. Przypomniała sobie pewne wypadki, zaszłe późnym już wieczorem i to utwierdziło ją w przekonaniu, że ich cichemu domostwu grozi okropne nieszczęście. Szmer zaczął się na nowo. Nie zdołała wytrzymać i zbudziła męża. Z trudem otworzył Hanier powieki — ostatni raz w swem życiu.

Żona odkryła mu swoje obawy; począł jej tłómaczyć, aby się uspokoiła, ale nadaremnie. Zaczął więc i sam słuchać i wkrótce musiał przyznać, że szmer, jaki dochodził jego uszu, był innego zupełnie rodzaju, aniżeli zazwyczaj. — Słyszał ciche stąpania po podłodze, przytłumione jakieś głosy i dźwięki, których nie mógł rozróżnić, potem jakby brzęk szkła. A właśnie pod sypialnią znajdowała się szynkownia, z której, jak mu się zdawało, dochodziły owe szmery. Czyżby do gospody wdarli się złodzieje?

Niemożliwem to nie było. Hanier wprawdzie zaryglował wieczór drzwi, ale złodzieje mogli je przecie wysadzić, jeśli sądzili, że im się to opłaci. Teraz, zmożony jeszcze snem, sądził, że zna przyczynę tych szmerów. Zdawało mu się, że wie, kto jest na dole, a jeżeli się nie mylił, to nie było żadnego niebezpieczeństwa, chociaż w każdym razie należało rzecz zbadać. W krótkich słowach oznajmił to żonie, ubrał się i przygotowywał się do zejścia na dół, aby się dowiedzieć o przyczynie szmerów. Równocześnie wstała i pani Hanier i udała się do przyległego pokoju, w którym spały dzieci. Zbudziła najstarszego syna, dziesięcioletniego chłopca, polecając mu, aby poszedł za ojcem. Według jej przekonania, musieli się do gospody wedrzeć złodzieje, których należało wypłoszyć, unikając zetknięcia się z nimi i ewentualnej walki.

Gdy chłopiec się ubrał, powróciła do swojej sypialni, chcąc napomnieć męża, aby się miał na ostrożności i nie wystawiał się na niebezpieczeństwo. Ale Hanier'a już nie było w sypialni. Wybiegła więc za nim i stanęła przy schodach.

Panowała tam nieprzebita ciemność. Pani Hanier słyszała jeno trzeszczenie schodów pod stopami jej męża, który, jak sądziła, znajdował się już niedaleko ziemi. I w tej chwili nastała wewnątrz gospody cisza, jakgdyby i złodzieje zaczęli podsłuchiwać, czy im co nie grozi. Deszcz lał strugami, wiatr huczał przeraźliwie, zresztą uszu jej nie dochodził żaden szmer. Naraz usłyszała szybkie kroki w szynkowni i stukot otwierających się drzwi. Zimny wiatr powiał po sieni — złodzieje widocznie rzucili się do ucieczki.

Tak sądziła pani Hanier. Jej mąż był prawdopodobnie również tego samego zdania. Stał on na schodach tak wąskich, że dwoje ludzi z trudnością tylko mogło się na nich przecisnąć i wytężył wzrok w ciemność. Czyżby go na prawdę okradziono? Czyżby na prawdę złodzieje uciekli ze zrabowanem jego mieniem?

Dotychczas, jak wspomnieliśmy wyżej, był innego zdania; teraz jednak, gdy spostrzegł, co się dzieje, postanowił ścigać złodziejów i szybko zbiegł po schodach na dół.

Naraz żona jego, czekająca z zapartym oddechem na górze, ujrzała jasny, olśniewający błysk, a zaraz po nim usłyszała okropny jakiś trzask. Równocześnie zaś zobaczyła swego męża, jak gwałtownym ruchem naraz się wyprostował, a potem w tył się pochylił — poczem znów wszystko ogarnęły ciemności. Ale po chwilce ktoś się koło niej z trudem przesunął i wszedł do sypialni dziecięcej, a przez nią na stary, zmurszały już prawie balkon, wychodzący na dziedziniec. To musiał być jej mąż, bo naraz usłyszała jego głos, do dzikiego okrzyku zranionego zwierza podobny. Co krzyknął, nie słyszała. Strach i groza przytępiły jej słuch; szmer deszczu, wycie wichru pochłonęło jego głos. Usłyszała znów kroki, jakby mąż jej wracał. Rzeczywiście Hanier dowlókł się do łóżka, opadł na nie, potem ciężko zesunął się na ziemię i leżał na wznak bez ruchu. Na żadne pytanie, na żadne przysięgi zrozpaczonej kobiety nie dawał odpowiedzi.

Poczciwy, zacny Hanier był już trupem.

Nieprzytomna prawie padła biedna kobieta na kolana przy zwłokach. W uszach jej brzmiał jeszcze huk strzału, który jej małżonka pozbawił życia.

Gwałtowna, nagła śmierć ma zawsze w sobie coś strasznego. Tutaj grozę wypadku potęgowała ciemność i burza. Pani Hanier nie mogła wprost pojąć, aby jej mąż, przed chwilą jeszcze pełen siły i zdrowia, był już trupem. Zaszło to tak nagle, tak niespodziewanie!

W obłędnej trwodze uklękła znowu przy zwłokach, starając się przywołać je do życia, zbudzić. Wołała na męża po imieniu, pieściwemi słowy chciała wydobyć zeń choć dźwięk jaki — nadaremnie.

Z głębokiej rany, jaką miał zmarły na piersiach, a której pani Hanier z powodu ciemności nie mogła zauważyć, płynęła obficie krew na jej ręce, podtrzymujące zmarłego, na jej bieliznę i upłynęło kilka minut, kiedy wreszcie biedna kobieta przyszła do tego strasznego przekonania, że trzyma w swoich rękach jeno cielesną powłokę swego męża, którego duch był już na tamtym świecie.

Tymczasem syn jej wybiegł na odgłos strzału do sieni, ale zaraz się cofnął do tylnego pokoju, gdzie w ciemności, nie wiedząc o tem, musiał się był spotkać z ojcem. Może chłopczyna usłyszał kroki uciekającego mordercy i sądził, że zbrodniarz będzie uciekał przez podwórze? Pobiegł więc na balkon i pogrążył oczy w mrok. Mdłe światło latarni oświecało słabym blaskiem jeden róg dziedzińca. Chłopczynie zdawało się, że widzi wśród deszczu i nocy właśnie w tym rogu cień jakiejś ludzkiej postaci, która naraz wynurzyła się z ciemności i znowu w ciemność zapadła. Trwało to mgnienie oka. Czy postać ta była duża czy mała, czy był to mężczyzna czy kobieta, ba, czy postać ta nie była wogóle wytworem wzburzonej jego dziecięcej fantazyi — tego nie wiedział.

— Trzymajcie złodzieja! — wołał, co miał sił. Ale na dole było cicho i ciemno.

Opuścił więc balkon, pobiegł przez sypialnię na schody i zbiegł na dół do szynkowni, gdzie mały płomień gazowej lampy rozpraszał ciemności. W szynkowni nie było nikogo. Zebrał więc ze stołu zapałki i zapaliwszy świecę, zszedł do piwnicy. Znalazł ją również pustą. Powrócił więc do sypialni. Ze świecą w ręku wszedł do pokoju rodziców i zobaczył straszny obraz.

Na ziemi, koło łóżka, leżał w kałuży krwi jego ojciec i matka, przechylona na piersi ojca. Przerażony chłopiec, który nawet nie przeczuwał, co się stało, domyślił się teraz, skąd pochodzi krew, domyślił się, że ojciec jego nie żyje.

I pani Hanier, która dopiero teraz zobaczyła to, co przedtem tylko za pomocą dotyku widziała, zerwała się nagle jak szalona. Pobiegła do okna, otworzyła je i poczęła krzyczeć: „Morderstwo! Morderstwo!“

A ulice były puste; wiatr jeno dzwonił o szyby i jęczał, tłumiąc głos nieszczęśliwej.

II.

Morderstwo!

Krzyk taki nie pozostaje zwykle długo bez odpowiedzi. Jednak pani Hanier wołała co chwila „morderstwo!“ — i ciągle nadaremnie. Zdawało się, że ponura noc zdławiła wszelkie życie i całe milionowe miasto naraz zamieniła w grób.

Nareszcie krzyk jej zbudził dwóch Francuzów, którzy zamieszkiwali mały barak w pobliżu i stołowali się u Hanier'ów. Przyszli więc do gospody i nie przeczuwając nic dobrego, odrazu weszli na schody. Chłopiec zapalił tymczasem małą lampę, przy której niepewnem świetle zobaczyli, jak straszną w tej gospodzie popełniono zbrodnię. Osłupiali z przerażenia, stanęli obydwaj na progu sypialni.

Wszędzie było pełno krwi. Krew sączyła się z piersi zmarłego, czerwieniła się na sukniach i szyi zrozpaczonej wdowy. jakoteż na sukienkach dzieci, które, zwabione hałasem, z krzykiem przybiegły do pokoju i broczyły również w kałuży krwi.

Obaj Francuzi stali, jak wrośnięci w ziemię i dopiero po dłuższej chwili, słysząc powtórnie już prośbę pani Hanier, jeden z nich wyszedł, aby sprowadzić policyę. Niedługo potem usłyszano z ulicy ciężkie kroki policyantów i pobrzęk szabel, uderzających o bruk, a po chwili weszło do sypialni trzech żołnierzy policyjnych, otulonych w gumowe, nieprzemakalne płaszcze.

Lekarz był już niepotrzebny, to nie ulegało wątpliwości. Ludwik Hanier już nie żył, trafiony kulą w samo serce i wszelka pomoc ludzka była już zbyteczną. Policyanci poczęli pytać pani Hanier o przebieg katastrofy, a biedna kobieta płacząc i załamując ręce, opowiadała, co się stało. Zeznania chłopca były bardziej jasne, ale nie wystarczały, aby na ich podstawie można sobie było wyrobić jakie takie pojęcie o zbrodniarzach. Dowiedziawszy się, co tylko mogli, policyanci naradzili się i zaraz potem jeden z nich udał się do najbliższego urzędu policyjnego, aby donieść o strasznym wypadku, podczas gdy pozostali odprowadzili matkę i dzieci do tylnego pokoju, a sami stanęli obok trupa, oczekując przybycia komisyi.

Jeden z tych policyantów, który od dłuższego czasu pełnił służbę w tej części miasta, znał Hanier'a i jego stosunki rodzinne; drugi jednak, który dopiero od niedawna przybył do tej okolicy, miał ochotę zwalić winę morderstwa na panią Hanier. Jej obłędny wzrok, straszny, odrażający prawie wygląd i ogromne nieprawdopodobieństwo pewnych szczegółów w jej opowiadaniu, wskazywało — jego zdaniem — na to, że biedna kobieta zna dokładnie wszystkie okoliczności, wśród jakich popełniono zbrodnię, tylko nie chce mówić wszystkiego.

— Pani Hanier jest przecie Francuzką — mówił do swego kolegi. — Francuzki zaś lubią mieć kochanków. Może i pani Hanier miała kochanka, z którym ją mąż zastał niespodzianie. To przecie rzuca już pewne światło na katastrofę. Ponadto pani Hanier zeznała, że mąż jej został w ciemności zabity. Wygląda to dosyć zagadkowo, bo przecież kula trafiła Haniera w samo serce, morderca musiał więc dobrze celować. Na karb przypadku zwalać tego niepodobna.

— Dlaczego? — przerwał drugi policyant.

— No, mnie się wydaje, że niepodobna. A jeszcze jedno. Według jej opowiadania, Hanier otrzymał śmiertelną ranę, schodząc ze schodów. Skądże więc ciało jego znalazło się w pokoju, w odległości co najmniej dwudziestu stóp od miejsca katastrofy? Powinien był przecież leżeć na schodach. Wszystko to wygląda mi podejrzanie i zdaje mi się, że zasługuje na uwagę.

Starszy policyant odrzucił jednak wszystkie te podejrzenia, powołując się na to, że znał dobrze całą rodzinę Hanier'ów, wykluczał stanowczo aferę miłosną i oświadczył wreszcie, że jest najmocniej przekonany, iż pani Hanier jest zupełnie niewinną. Opowiadanie jej wprawdzie nie było bardzo logiczne, może być, że w pewnych szczegółach zachodziły sprzeczności, ale jakże inaczej może człowiek właściwie jeszcze zaspany, bo niedawno ze snu zbudzony, opowiadać?

Tłómaczenie to nie trafiło jednak do przekonania upartego policyanta, który stanowczo obstawał przy swoich podejrzeniach. Rozmowę ich przerwało wreszcie nadejście komisyi.

Z sieni, od schodów, usłyszeli obaj wołanie komisarza:

— Tutaj się włamano i zrabowano sklep. Zejdźcie na dół.

Komisarz nie przesadzał. Szynkownia, jakeśmy to już przedtem wspominali, była urządzoną bardzo skromnie, ale czysto i porządnie. Teraz zaś wszystko było w niej wywrócone do góry nogami. Przy jasnem świetle gazowej lampy widać było poprzewracane stołki, naokoło leżały porozbijane flaszki, z których wino wypito, obrazy ze ścian pozrywano, szuflada, służąca za kasę, była do połowy wysunięta i wypróżniona. Wszędzie widać było ślady okropnego zniszczenia. Jeden z policyantów stanął mimowoli w zagłębieniu podłogi, wypełnionem jakąś lepką cieczą i w tej chwili cofnął się przerażony.

Czyżby to była krew? Zapalił zapałkę i schylił się, aby się przyjrzeć tej cieczy. Nie, to nie była krew, to były resztki piwa, wylanego z beczki na podłogę. Widocznie zbrodniarzom chodziło przedewszystkiem o doszczętne zniszczenie mienia Hanier'a. Policyanci spojrzeli zdziwieni na siebie.

— Zobaczmy naprzód, w jaki sposób zbrodniarze tu się dostali! — zauważył komisarz.

Zaczęli więc badać. Drzwi wchodowe były wyrwane z zawias. Wprawdzie zamek oparł się sile zbrodniarzy, ale zawiasy wylazły wnet ze spróchniałych belek. Klucz tkwił jeszcze od wewnątrz



...Ze świecą w ręku wszedł do pokoju rodziców i zobaczył straszny obraz. Na ziemi, koło łóżka, leżał w kałuży krwi jego ojciec...

w zamku, któremu komisarz zaczął się uważnie przypatrywać. Włamywacze z pewnością nic koło zamku nie robili. Złodzieje z zawodu nie lubią tracić czasu na rozbijanie flaszek i wylewanie piwa z beczek. Nie wyważają oni również nigdy drzwi, bo mają specyalne przyrządy, zapomocą których m gą je cicho i bez szelestu otworzyć. Celem ich jedynym jest zrabowanie pieniędzy, a nie niszczenie flaszek i picie. Mordercy Ludwika Haniera zrabowali wprawdzie kasę, ale zdawało się, że włamując się do gospody, mieli także inny cel na oku. Do morderstwa nie było, o ile można było sądzić z dotychczasowych badań, najmniejszego powodu. Zbrodniarzy nie chwycono w pułapkę, droga do ucieczki stała przed nimi otworem. A może oni umyślnie hałasowali, aby zbudzić Hanier'a i w ten sposób dostać go przed lufy swoich pistoletów?

Po ukończeniu tego wstępnego śledztwa, powrócił komisarz do urzędu policyjnego, aby złożyć raport. W gospodzie pozostał tylko jeden policyant, mający czuwać nad tem, aby w niej nic nie zmieniano; sprawą tą musiała się bowiem zająć tajna policya.

Noc upływała powoli; burza słabła też coraz bardziej; wstawał ranek zimny i posępny. Wieść o morderstwie rozniosła się wkrótce po całej ulicy, doszła także do biur dzienników w śródmieściu. Wczesnym już rankiem przybyli na miejsce nieszczęśliwego wypadku reporterzy, których, po okazaniu legitymacyi, wpuścił policyant do wnętrza gospody. Najpierw udali się wszyscy na piętro, aby zobaczyć trupa, który leżał już sztywny na pokrwawionem łóżku; obejrzeli później splądrowaną szynkownię, dziedziniec, odrysowali schody i zanotowali sobie szczegóły. Zasięgnęli jeszcze trochę szczegółów od policyanta, rozpytali się o wypadku wśród licznie już przed domem zgromadzonych mieszkańców, poczem rozjechali się do redakcyj, aby tragiczny ten wypadek podać do wiadomości publicznej zapomocą dzienników.

Przed domem zgromadzonych było mnóstwo ludzi, którzy patrzyli na ściany, jakby z nich chcieli wyczytać rozwiązanie tajemnicy. Obywatele z tej samej ulicy czuli się nawet do pewnego stopnia podnieceni; straszliwe morderstwo popełniono bowiem wśród nich, to podniosło ich znaczenie, chociaż naturalnie żałowali, że ofiarą morderstwa padł właśnie Hanier, znany ze swojej uczciwości i cieszący się ogólną sympatyą.

W głównej dyrekcyi policyi, przy ulicy Mulberry, oddawna już obradowano nad tem morderstwem. Około godziny dziewiątej rano wyszedł z biura dyrektora skromnie ubrany mężczyzna, przecisnął się przez gromadę gapiów ulicznych, zgromadzonych przed policyą i szybko zwrócił się ku ulicy Blecker. Jeden z gapiów przyjrzał mu się bacznie, poczem zwrócił się do towarzyszy i rzekł:

— Oto pies gończy, tropiący za śladami!

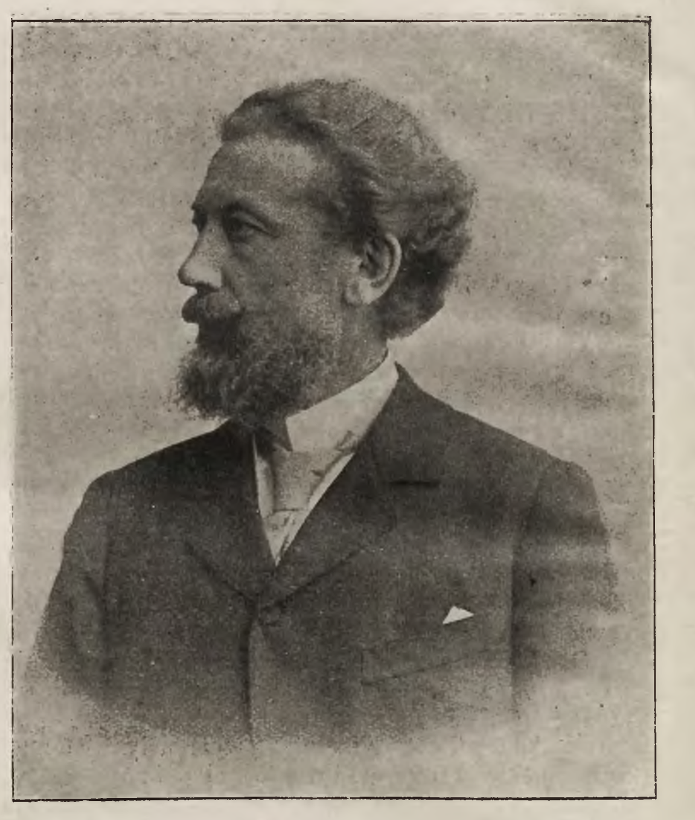
Człowiek, do którego się odnosiła powyższa uwaga, szedł dalej w głąb miasta. Był on wzrostu średniego, jedno ramię miał nieco podniesione, zresztą był silny i dobrze zbudowany. Na pierwszy rzut oka można było sądzić, że to człowiek młody, przypatrzywszy mu się jednak bliżej, trudno było oznaczyć jego wiek. Mógł mieć lat trzydzieści, mógł mieć równie dobrze pięćdziesiąt. Czoło jego poorane było głębokiemi bruzdy, niewiadomo, czy z powodu podeszłego wieku, czy też ciężkich doświadczeń, jakie przechodził. Mógł on należeć do ludzi, którzy się wcześnie starzeją, ale nawet w późnej starości się nie zmieniają. Ubranie miał bardzo skromne, wogóle, nie było w tej postaci nic takiego, coby zwracało szczególną uwagę. Jedynie wpadał w oko jego ślimaczy, żółwi chód, wskutek czego powszechnie nazywano go „Ślimakiem“. więc i my go tak będziemy nazywać.

Ślimak wsiadł do konnego tramwaju, zdążającego w kierunku ulicy Wolności. Na rogu tej ulicy wysiadł i w kilku minutach był już na miejscu tajemniczego morderstwa. Stanął przed gospodą, jak zwyczajny śmiertelnik, i wlepił oczy w dom, potem patrzał chwilę na policyanta, stojącego przy drzwiach, wreszcie począł obserwować grupy ludzi, stojące naokoło. Na twarzach wszystkich widać było jeno pospolitą ciekawość, nic więcej. Tylko jedna kobieta — prawdopodobnie należąca do wyższych sfer, chociaż miała na sobie jeno długi, szary płaszcz gumowy — okazywała więcej zainteresowania. Przyszła szybko, w towarzystwie wysokiego, tęgiego, o szerokich barach mężczyzny, w ciemnym płaszczu, z nasuniętą głęboko, na oczy prawie, czapką.

C. d. n.



Król włoski i jego rodzina: Dzieci włoskiej pary królewskiej. Pierwsza księżniczka Mafalda, drugi następca tronu, trzecia księżniczka Jolanda.



Konflikt Koła polskiego z ministrem dla Galicyi: Minister „rodak“ dla Galicyi, dr. Leonard Piętak.

Z prawdziwem zamiłowaniem pracuje też p. Langer na polu kompozytorskiem. Kompozycye jego, a jest ich przeszło dwieście, odznaczają się prawie zawsze oryginalnością i niezwykłą melodyjnością. Jego walce i mazury idą niemal o lepsze ze znakomitemi w tym rodzaju kompozycyami Wrońskiego. Skomponował też kilkanaście kantat, pieśni, marszów, wieńców pieśni narodowych oraz kilka mszy na orkiestrę i chóry. Utwory te wyszły po większej części drukiem. Do ważniejszych zaliczyć trzeba: „Polską szkołę gry na skrzypce“ i muzykę do sztuk ludowych, jak „Flisacy“, „Noc świętojańska“, „Wigilia św. Andrzeja“ i innych. Dzięki melodyjności niektóre z jego pieśni rozpowszechniły się tak dalece, że są dzisiaj pieśniami ludowymi.

P. Langer, choć sam Czech, zżył się z polskiem społeczeństwem i ukochał wszystko, co polskie. To też w Bochni cieszy się ogólnym szacunkiem i sympatyą. Zwolennicy muzyki zamierzają uczcić jego jubileusz stosownym obchodem, tak, jak go niedawno uczcili członkowie orkiestry salinarnej.

Zamieszczając tę pobieżną sylwetkę oraz portret p. Langera w dzisiejszym numerze, zasyłamy i my sympatycznemu jubilatowi serdeczne życzenia.

Król włoski i jego rodzina.

Mało który z panujących cieszy się wśród swego ludu taką sympatyą i miłością, jak król włoski Wiktor Emanuel III. Miłość tę pozyskał sobie Wiktor Emanuel swoją dobrocią i energiczną pracą nad podniesieniem ekonomicznem kraju. Popularność jego wzrosła zwłaszcza w roku bieżącym podczas trzęsienia ziemi w Kalabryi. Młody król, bawiący podówczas na północy, na pierwszą wiadomość o katastrofie natychmiast wyjechał do nieszczęsnej krainy i osobiście kierował akcyą ratunkową, spiesząc z czynną pomocą nieszczęsnej, a tak strasznie dotkniętej ludności. Sam król pomagał przy wydobywaniu rannych z pod gruzów zawalonych domów, sam koił radą i wsparciem łzy, niosąc wszędzie pociechę. To też ludność Kalabryi na rękach go prawie nosiła, a serdeczny węzeł, jaki łączył tron włoski z narodem, zacieśnił się przez to jeszcze więcej.

Nie mniejszą sympatyą cieszy się wśród ludu włoskiego i małżonka króla, urocza królowa Helena. Jest ona córką księcia czarnogórskiego Nikity. Wiktora Emanuela poślubiła w roku 1896. Odznacza się ona, podobnie jak jej małżonek, wielkiemi zaletami serca i umysłu. Wychowana rozumnie i praktycznie w patryarchalnym domu sędziwego księcia czarnogórskiego, królowa Helena jest nietylko tkliwą małżonką i matką, ale umie równocześnie zadawalniać narodową dumę Włochów swem prawdziwie królewskiem zachowaniem się.

Para królewska z utęsknieniem oczekiwała przez dłuższy czas potomka płci męskiej, któryby był dziedzicem tronu włoskiego, a oczekiwanie to podzielał i cały naród. Pierwsze dwoje dzieci, jakiemi Bóg obdarzył młodą parę królewską, to były córki, księżniczka Jolanda i Mafalda. [illegible] radość ludu nie miała granic, gdy przed dwoma laty wystrzały armatnie z twierdzy Anioła zwiastowały światu przyjście na świat męskiego potomka dynastyi, której Włochy zawdzięczają swoje zjednoczenie.

Ubiegłe lata przepędziła para królewska w prześlicznym zamku w północnej części Włoch, w Racconigi. Tam zdjęte zostały fotografie, jakie obok podajemy w reprodukcyi. Jedna z nich przedstawia króla, królową i ich potomstwo wybierające się na przejażdżkę — mały następca tronu, książę Humbert i siostrzyczki jego na osłach — druga zaś dzieci królewskie razem.



Król włoski i jego rodzina: Król Wiktor Emanuel i królowa Helena wraz z dziećmi, wybierają się na przejażdżkę w czasie letniego pobytu w Racconigi.

Konflikt Koła polskiego z ministrem dla Galicyi.

Niktby się był przed rokiem jeszcze nawet nie spodziewał, że walka o powszechne prawo głosowania, o to najświętsze prawo obywatelskie w konstytucyjnie rządzonem państwie, rozgorzeje w Austryi tak prędko i z taką siłą, jak się to stało w ostatnich kilku miesiącach, tem mniej zaś nie można było przypuszczać, że kwestya ta dostanie się przed forum Izby posłów w parlamencie wiedeńskim z inicyatywy samego rządu. A jednak tak się stało. Na pierwszem posiedzeniu ostatniej sesyi Rady państwa wystąpił premier ministrów austryackich, baron Gautsch, z reformą wyborczą, opartą na podstawie tajnego, równego, bezpośredniego i powszechnego prawa głosowania.

Rząd sam, wnosząc tę reformę w parlamencie, złożył chlubny dowód, że nie trzyma się tradycyjnej przeszłości rękami i nogami, ale idzie z postępem czasu, rozważa prądy, nurtujące narody, Austryę zamieszkujące i wyciąga z tych prądów, z postępu czasu należyte konsekwencye. Zdawać by się więc mogło, że, jeżeli kwestya reformy wybor-

czej zajmuje dzisiaj gorąco całą ludność, jeżeli nawet rząd już się o tem przekonał i uznał za stosowne sam przedłożyć reformę, że nie znajdą się więc w parlamencie ludzie, którzy będą szli przeciw ogólnemu prądowi i nie będą tej reformie stawiali przeszkód.

Tymczasem stało się inaczej. Projekt rządu spotkał się ze znaczną ilością przeciwników, którzy zdecydowali się wystąpić przeciw powszechnemu prawu głosowania, a więc i przeciw rządowi. I co charakterystyczne: w rzędzie przeciwników reformy wyborczej stanęli jako najbardziej zaciekli wrogowie posłowie polscy, reprezentacya kraju naszego, znana pod nazwą Koła polskiego, która zawsze dotychczas szła ręka w rękę z rządem. Koło polskie wystąpiło przeciw reformie w sposób bardzo stanowczy, a nawet zaciekły; prezes Koła, hr. Wojciech Dzieduszycki, na jednem z posiedzeń Koła zaatakował nawet w sposób gwałtowny ministra dla Galicyi, dr. Leonarda Piętaka, zarzucając mu, iż będąc członkiem gabinetu barona Gautscha nie stanął w poprzek jego zamiarom reformy wyborczej, która dla Galicyi — jak się hr. Dzieduszycki wyraził — jest zgubną. Zarzucił dalej prezes Koła ministrowi Piętakowi, że popełnia zdradę względem interesów Galicyi, popierając zamiary Gautscha, który sam rozdmuchał kwestyę reformy wyborczej do niebywałych rozmiarów i sam postarał się o urządzenie demonstracyj masowych w dniu 28 listopada.

Minister Piętak w odpowiedzi hr. Dzieduszyckiemu zaznaczył, że jest istotnie za reformą wyborcza, ale zaprzeczył stanowczo insynuacyi prezesa Koła, co do stanowiska rządu wobec demonstracyi. Na to hr. Dzieduszycki krzyknął: „Ja to wiem lepiej, niż pan“! Taki zarzut, uczyniony ministrowi, członkowi rządu, był najdosadniejszym wyrazem votum nieufności dla dra Piętaka, który w tej chwili odpowiedział, że wyciągnie z powyższych słów należne konsekwencye. Znaczyło to, że poda się do dymisyi, czego się nawet ogólnie spodziewano.

Koło polskie, a raczej jego prezes, spostrzegł się jednak, że popełnił delikatnie mówiąc, głupstwo. Czemprędzej więc ogłosił, że modyfikuje pewne zwroty swej mowy, jaką miał w tej sprawie wygłosić w parlamencie, wobec czego minister Piętak puścił płazem osobistą urazę i nie podał się do dymisyi.



Międzynarodowa demonstracya floty przeciw Turcyi: Wiceadmirał Juliusz Ripper, głównodowodzący eskadrą połączonych mocarstw.

Cała ta historya jest dowodem, że Koło polskie, chcąc zwalczyć reformę wyborczą, doszło do takiego zacietrzewienia, które graniczy — z bezhołowiem.

W uzupełnieniu artykułu podajemy obok portret ministra Piętaka.

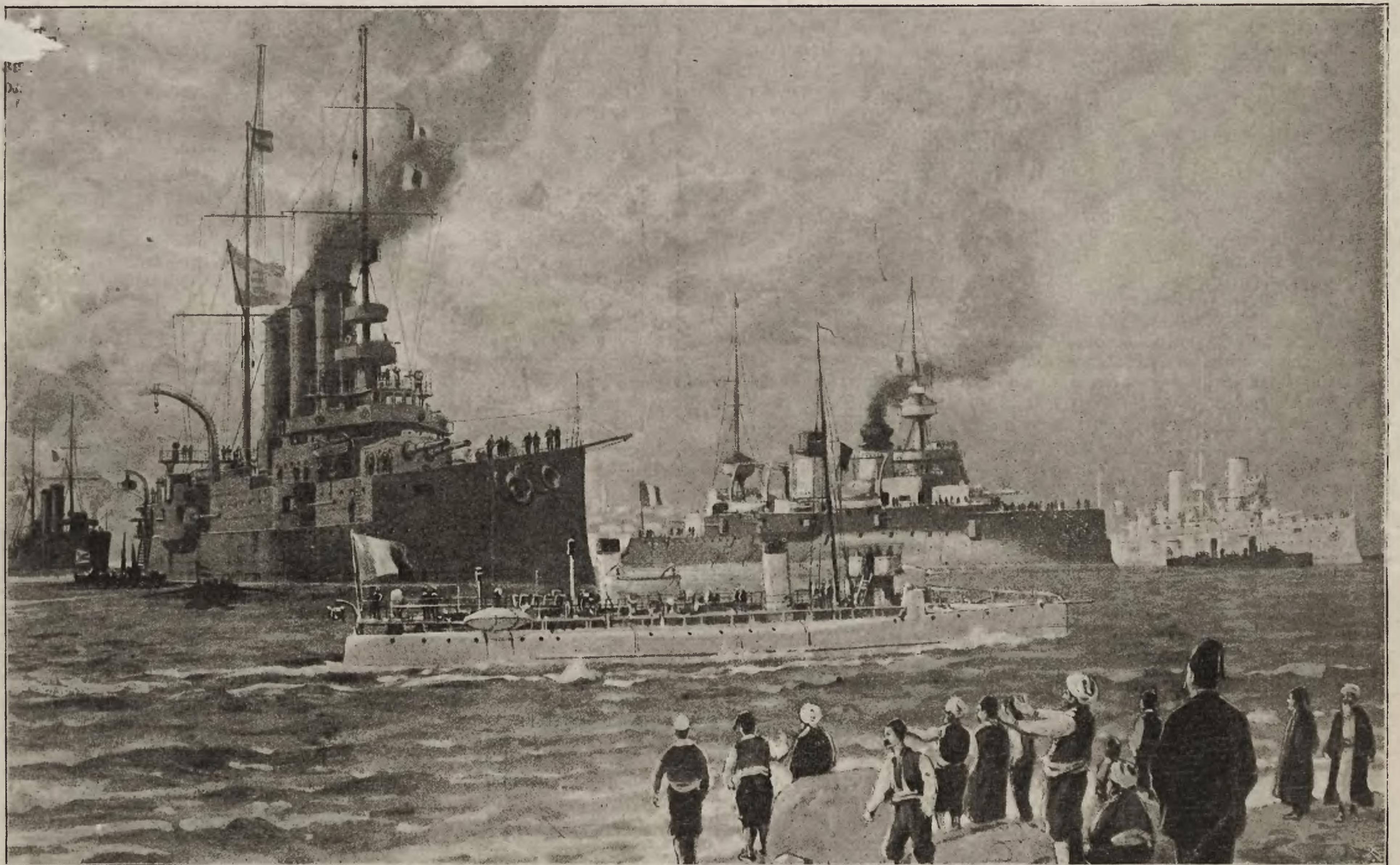
Międzynarodowa demonstracya floty przeciw Turcyi.

Od szeregu już lat półwysep bałkański, zwłaszcza jego północna część, Macedonia, była widownią niepokojów, ustawicznej wojny domowej między ludnością tubylczą, chrześcijańską, a Turkami. Ostatecznie sytuacya doszła do tego, że mocarstwa porozumiały się wzajem i ustanowiły dla Macedonii specyalną straż, żandarmeryę międzynarodową, której zadaniem jest utrzymanie spokoju w tej nieszczęsnej krainie. W roku bieżącym kończy się pełnomocnictwo żandarmeryi europejskiej, utrzymywanej tam za zgodą sułtana i Porta żywiła nadzieję, że już w tym roku pozbędzie się z Macedonii nieproszonych gości. A wszystko zdało się za nią przemawiać. Rząd turecki bowiem ze swej strony dokazał cudów; powstania w Macedonii niema, a wobec zbliżającej się zimy ludność siedzi spokojnie po swoich „kurzach“. Wszystko właśnie szło jaknajlepiej, tymczasem mocarstwa europejskie zażądały kontroli międzynarodowej nad skarbowością w Macedonii. Żądanie to Porta odrzuciła, twierdząc, że nie rozumie poprostu, czego chce od niej Europa, gdyż takie żądanie nieoparte jest na żadnych traktatach. Ba, Porta poczęła grozić, że jeżeli mocarstwa będą się mieszać w jej sprawy, to ona nie odpowiada za „możliwe następstwa oburzenia opinii publicznej w Turcyi“, czyli, mówiąc poprostu, za rzezie chrześcijan, które wyprawia tłuszcza muzułmańska, podjudzona przez baszów i bejów. Ale mocarstwa nie ulękły się tej groźby. Flota zjednoczona Austro-Węgier, W. Brytanii, Francyi, Włoch i Rosyi zgromadziła się nareszcie w Pireju i zajęła komorę celną na Mitylene, grożąc, że taksamo postępować będzie dalej.

Pisaliśmy w poprzednim numerze, co jest za daniem tej demonstracyi floty. Nie będziemy więc tego powtarzać. Nadmienimy tylko, że w demonstracyi bierze udział 11 okrętów wojennych, z których 3 należą do Austryi, a po dwa do każdego z wyżej wymienionych państw.

Dowództwo nad tą międzynarodową eskadrą objął za zgodą mocarstw austryacki wiceadmirał Juliusz Ripper. Urodzony w Krakowie w r. 1847, liczy p. Ripper obecnie lat 58. W marynarce służy od roku 1861. W roku bieżącym otrzymał rangę wiceadmirała; tej jesieni został również mianowany komendantem twierdzy w Pola. Cieszy się zasłużonem zupełnie uznaniem jako doświadczony, sprytny i energiczny szef eskadry. W roku 1903 stał na czele eskadry, odwiedzającej w celach dyplomatycznych porty francuskie i włoskie. Od roku 1896 do 1898 był naczelnikiem sekcyi marynarki w ministerstwie wojny i za zasługi, na tym urzędzie położone, został obdarzony krzyżem austryackiego orderu Leopolda.

W uzupełnieniu artykułu podajemy obok portret wiceadmirała Rippera, oraz ilustracyę, przedstawiającą widok floty zjednoczonych mocarstw.



Międzynarodowa demonstracya floty przeciw Turcyi: Okręty wojenne zjednoczonych mocarstw europejskich pod wyspą Mytilene.

Plotki lwowskie.

(Car we Lwowie. – W jakim celu car przybywa do Lwowa? – Zalety Galicyi. – Cesarz Wilhelm i dr. Lueger. — Dobre strony rzezi żydów. – Kto zastąpi czarne sotnie? — Coby robił dr Lueger bez żydów? – Powódź koncertów.— Brak koni we Lwowie. – Dlaczego magistrat nie kropi ulic? – Wyodrębnienie Galicyi. — Kandydaci na ministrów. – Dwie nagrody Nobla. – Nie warto być cnotliwym. — Co nie przyniósł św. Mikołaj? – Czego się szuka a co się znajduje? – Historya o pewnym autorze dramatycznym, o jego dramacie, kolacyi i gościach. — Jedyny znawca wytrzymały. — Co się pokazało?)

Wbrew wszelkim wersyom, podawanym w dziennikach, jakoby car Mikołaj zamierzał udać się nad jezioro Garda, lub umknąć w inne jakieś bezpieczne miejsce przed rewolucyą w swoim państwie, dowiaduję się w drodze prywatnej od osoby wtajemniczonej w rosyjskie stosunki dworskie, że car wprawdzie opuszcza tymi dniami Rosyę, która staje się dlań coraz mniej bezpieczną, ale nie jedzie nad jezioro Garda. Car przyjeżdża z całą pewnością do Lwowa, przyjeżdża incognito w przebraniu rosyjskiego studenta i zamieszka w hotelu Imperial, bo na hotel George'a obecne stosunki finansowe Rosyi nie pozwalają.

Powody, dla których car wybrał właśnie Lwów, a nie inne miasto, są bardzo proste. Oto mając zamiar nadać swoim ludom konstytucyę, przyjeżdża do Lwowa studyować jej szczegóły i poznać jej błogosławieństwo. Słyszał bowiem od swego Trepowa, Durnowa i innych jeszcze mądrzejszych mężów stanu, że w żadnym innem mieście środkowej Azyi (może Europy? *Pytanie zecera)* nie przestrzegają bardziej zasad konstytucyi i nigdzie konstytucya nie wydała tak pięknych, jak we Lwowie rezultatów.

Nie, ażeby się chwalić, ale w interesie prawdy należy przyznać, że car istotnie we Lwowie wiele rzeczy gołem okiem widzieć może, których gdzieindziej z pewnością ani przez mikroskop, teleskop, telektroskop nie zobaczy.

Najwięcej zaś zaimponowała carowi zakomunikowana mu wiadomość, że w tym kraju cieszącym się tak dawno swoją konstytucyą, znaleźli się ludzie lojalni, którzy ofiarowanej im reformy wyborczej nie chcą przyjąć, ale owszem zwalczają ją zaciekle w swoich dziennikach, że socyaliści i rząd dążą do jednego celu (?) i że arcykonserwatysta hr. Dzieduszycki zwalcza reformę wyborczą jedynie w interesie socyalistów!

Tych to wychowanków konstytucyjnego powietrza chciał car na własne oczy zobaczyć i poznać. Dlatego nikogo dziwić nie powinno, że car Mikołaj wybrał właśnie nasze miasto, gdzie nadto ma swoich zwolenników, swojego konsula, swoje dzienniki, gdzie ma konną policyę, końskie jatki, końskį tramwaj i inne końskie przyjemności, a gdzie mile spędzić może kilka miesięcy, jak chyba nigdzie.

Natomiast nie mamy żadnej prawie nadziei ujrzenia w naszem mieście *reiseredekaisera* Wilhelma, mimo, że lubi tyle podróżować i zwiedzać znakomite miasta i mimo, że go tak bardzo tu widzieć pragniemy, ani burmistrza Wiednia dra Luegera, którego znowu domagają się i do Lwowa zapraszają liczne stowarzyszenia żydowskie, pragnące dać wyraz swoim sympatyom dla wielkiego filosemity za ostatnią jego mowę, zapowiadającą rzeź żydów we Wiedniu.

Dr. Lueger bowiem, jako mąż sprawiedliwy, wychodzi ze słusznego założenia, że skoro rząd już chce koniecznie coś zrobić dla socyalistów i przeprowadzić po ich myśli reformę wyborczą, to niechże coś zrobi i dla innych upośledzonych, mianowicie dla żydów i rządzi im masową rzeź pod protektoratem rządu na wzór pogromów rosyjskich, ażeby w ten sposób podnieść i rozdmuchać sympatyę świata cywilizowanego dla żydów austryackich i ażeby ci nie zostali ani o jeden centymetr w tyle za żydami rosyjskimi. W miejsce rosyjskich czarnych sotni i chuliganów, podejmuje się dr. Lueger pod osobistą odpowiedzialnością, dostarczyć zdolnych wykonawców rzezi z grona swoich zwolenników politycznych, których dobrze zna i o których wie, że na nich polegać można z całym spokojem.

Żydzi jednak nie zrozumieli dobrych intencyi ich przyjaciela i niepotrzebnie udali się z żalami do barona Gautscha, że Lueger ma gust wyrżnąć wszystkich żydów. Nonsens! Gdzieżby człowiek tak mądry i szlachetny, zdobył się na taki krok? Nawet gdyby mu rząd dał specyalną licencyę w tym kierunku, to także by tego nie uczynił. Nie zapominajcie panowie żydzi, że dr. Lueger z was żyje, że wy mu jeść dajecie i że gdyby nie było żydów, dr. Lueger nie byłby ani burmistrzem Wiednia, ani tak wielką figurą, przed którą drżą nawet wszystkie mamki wiedeńskie. Lueger jest największym przyjacielem syonistów, bo chce wyprowadzić żydów z Austryi i pozbawić ich chleba. Jestem pewny, że gdyby pewnego poranku wszyscy żydzi wyemigrowali z Austryi, dr. Lueger bezzwłocznie powiesiłby się na własnych szelkach.

Ponieważ atoli do tego jeszcze daleko (t. j. nie do powieszenia się dra Luegera, bo o tem nie mam żadnej wiadomości, ale do masowej emigracyi żydów), przeto nieuzasadnionym jest niepokój żydów, audyencye u Gautscha i inne kroki podejmowane przez ludzi, którzy nie chcą zrozumieć, że czasem słodką jest śmierć za ojczyznę dra Luegera.

Tak więc nie ujrzymy na razie we Lwowie ani Wilhelma złotoustego, który nie przestaje myśleć nad wyduszeniem wszystkich Polaków, ani dra Luegera, który dał sobie słowo honoru, że tak długo nie spocznie, dopóki nie doczeka się założenia we Wiedniu jatek z tanim mięsem żydowskiem — nie ujrzymy ich, nie przyjadą do Lwowa, nad czem szczerze bolejemy.

Za to cieszymy się, że w ostatnich dwóch tygodniach przesunęło się przez miasto nasze tylu artystów światowej sławy, że mieliśmy taką powódź koncertów, wieczorów muzycznych i zwyczajnych przedstawień operowych, iż omal nie potopiliśmy wszyscy w morzu muzyki i śpiewu, ale szczęściem obeszło się bez wypadku i nie potrzeba było wzywać stacyi ratunkowej.

Nic więc dziwnego, że ludzie wyszastali się na koncerty i teraz zmuszeni są jadać koninę i oblęgać jatki końskie, do których dostęp trzeba sobie zdobywać pięściami, a które nie są w stanie nastarczyć tyle mięsa. Ktoby się kiedy spodziewał, że we Lwowie zabraknie konie? Konia z rzędem za kawałek konia — wołają konsumenci, a pan Babaczek czy Bobiczek, dyrektor końskiego towarzystwa akcyjnego, odpowiada na to: czekajcie aż podrosną i wychowają się, tymczasem jedzcie woły, koty, psy... konie będziecie jeść na święta.

Święta zbliżają się szybkim krokiem a ruch przedświąteczny daje się odczuć na ulicach miasta obok... kurzu, tego specyficznie lwowskiego kurzu, przysłowiowego, gęstego, przyjemnego. Magistrat lwowski powiada sobie: skoro nie kropiliśmy w lecie, kiedy tak bardzo wszyscy narzekali i kiedy kropić było naszym obowiązkiem, czegóż mamy kropić w zimie, kiedy nieba powinny zesłać śnieg, albo deszcz? Że niebo zamiast deszczu zsyła wiatr, który zamiata kurz z ulic, o to trudno winić magistrat, który jak wiadomo za niebo i jego nieporządki nie odpowiada. Zresztą p. Michalski codziennie rewiduje barometr magistracki i przepowiada na tej podstawie zmianę aury na pewne, a jeżeli zmiana spaźnia się o kilka dni, to nie można jeszcze z góry liczyć na takie opóźnienie i fatygować i psuć wszystkie sikawki, rozpylacze, kropidła czy szpryce magistrackie, dla czyjejś tam zachcianki.

Zresztą nie opłaci się już dziś robić jakieś nowe porządki, bo i tak coraz głośniej mówią o mającem nastąpić wyodrębnieniu Galicyi, a wtedy urządzimy się całkiem inaczej. Galicya co prawda jest już faktycznie dawno wyodrębniona w stosunku do przywilejów innych prowincyj austryackich, bo nam pozwalają tylko z daleka przypatrywać się, jak się inne prowincye rozwijają, a tylko pod względem siły podatkowej zrównano nas z innymi. Ale to wyodrębnienie nam jeszcze nie wystarcza, chcemy bowiem mieć własnych ministrów, na których mamy dosyć kandydatów i własny, swojski, galicyjski parlament.

Kandydatów na ministrów mamy tylu, że moglibyśmy każdą tekę dać „do trzymania" dwom lub trzem ministrom, a jeszcze zostałoby kilkunastu. Twierdzą złośliwi, że już teraz wszystkie teki przyszłego gabinetu galicyjskiego są rozdzielone na kilka lat naprzód, z uwzględnieniem trzykrotnej zmiany gabinetu. Do czwartej zmiany jeszcze można się ubiegać o teki. A mamy kandydatów na sto zmian.

Natomiast nie mieliśmy we Lwowie kandydata na tegoroczną literacką nagrodę Nobla, a choć myśleliśmy i o autorze „Lilith" i o Tadeuszu Rittnerze, o pannie Michalinie Schwarcównie i o innych jeszcze laureatach galic. Wydziału krajowego, to jednak nie mogliśmy się stanowczo zdecydować. Musiał więc tę nagrodę wziąć tymczasem Sienkiewicz, a my zaczekamy, aż nasi literaci podrosną. Za to nagrodę pokojową powinien stanowczo otrzymać ktoś ze Lwowa, a nie pani Suttner, bo we Lwowie znalazłby się chyba niejeden miłośnik i propagator pokoju n. p. pierwszy z brzegu pan dyrektor policyi Schechtel...

Ale już dawno przywykliśmy do tego, że świat nie uznaje cnót ludzkich i gdyby nie to, że Bóg, który siedzi w górze i widzi, co się tu dzieje na dole, nie wartoby być cnotliwym. O tem najlepiej sądzić mogę ja, który zbudziwszy się w dzień św. Mikołaja przeszukałem łóżko, czy nie znajdzie się jakiś podarek (ot proste przyzwyczajenie) a znalazłem na kołdrze edykt licytacyjny na zagrabione u mnie za podatek ruchomości. Takiego „Mikołajka" nie szukałem co prawda, ale czy u nas raz człowiek szuka czego innego, a co innego znajdzie? U nas szuka się posady, a znajduje żonę, szuka się miłości, a znajduje guzy od laski mężowskiej, szuka się kredytu, a znajduje dawnego wierzyciela jeszcze niezaspokojonego, szuka się pieczeni a znajduje stary usmażony kalosz, szuka się konsula, a znajduje policyantów i tak bez końca...

Jeszcze wypadałoby mi coś napisać o teatrze, ale w teatrze w tym tygodniu nie byłem, więc nie będąc recenzentem teatralnym nie mogę pisać o sztukach, których nie widziałem. Natomiast opowiem wam ciekawą historyjkę na zakończenie dzisiejszej pogadanki, historyę o pewnym autorze dramatycznym.

Trudno dziś znaleść człowieka, który nie ma dotąd na sumieniu jakiejś sztuki teatralnej. Są jednak tacy autorowie, którzy nałogowo piszą, zawodowo obciążają swoje sumienie i sumienie dyrektorów teatru. Nic ich to nie odstrasza, że już kilka dramatów zwróciły im dyrekcye, a kilka pereł dramatycznych utopiło się w teatralnych śmieciach, oni z pod ziemi wynajdują tematy i fabrykują jeden dramat za drugim.

Taki to autor dramatyczny lwowski, który w głębi swojej poetycznej duszy jest przekonany, że obecni dyrektorowie teatrów nie zasługują na najmniejszy szacunek, skoro na jego gieniuszu dotąd się nie poznali, chciał bodaj najbliższych swoich przyjaciół i krewnych zapoznać z najnowszym swoim dramatem historycznym i w tym celu zaprosił ich do siebie na kolacyę, nic o deserze dramatycznym nie wspominając. Przyszło dzięki temu ośm osób. Kolacya była dobra, a gdy po kolacyi autor wyjechał z niespodzianką wyciągając kajet, rozpoczęło się suwanie krzesłami i wołanie nie całkiem szczere:

— A, a... i owszem, wysłuchamy...

Poeta rozpoczął czytanie. W połowie pierwszego aktu wysunął się niespostrzeżenie jeden z najbardziej zdecydowanych, za nim pomknął drugi i trzeci, a czwarty i piąty dopiero w drugim akcie skorzystali z zapału prelegenta, ażeby się ulotnić. Lecz prelegent nie odrywał oczu od kajetu, czytał i płakał i płakał i czytał... Może przeczuwał smutny koniec bohatera, może przeczuwał, że audytoryum wypróżniło się sromotnie... Bo jakoś pod koniec przedostatniego aktu, gdy gęste łzy dramatyczne zaćmiły mu oczy i musiał wyciągnąć chustkę od nosa, aby wytrzeć oczy zauważył — o zgrozo — że ze wszystkich gości pozostał tylko jeden, który dotąd trzymał się dzielnie. Przekonany już dawno o grubej niewdzięczności świata odgadł poeta odrazu, że tamci drapnęli przed wzniosłem słowem poezyi, przed potokiem boskiego natchnienia, bo oni tego zrozumieć nie mogli, bo ich skóra za gruba na tak delikatne wrażenia, bo ich mózgi za płytkie, za ciasne, za głupie...

Wstał tedy z miejsca, poważnym krokiem przystąpił do dzielnego jedynego słuchacza, wyciągnął swą dłoń, tę samą, co takie dzieła przenosiła na papier i przemówił połykając łzy:

„Dziękuję ci, kochany przyjacielu, za twoje uznanie, za zrozumiemie mojej twórczości, zrozumienie tak rzadkie w tych czasach wstrętnego materyalizmu"... I po tych słowach ujął rękę prawdziwego znawcy i miłośnika literatury, gdy tenże nagle zerwał się z miejsca...

„Bardzo piękny wiersz, ten ci się naprawdę udał — i po tych słowach mimowoli przetarł oczy...

Poeta poznał pomyłkę i gorzko się rozczarował. Jedymy słuchacz mu pozostał, a ten — spał

Klewe.

Z rewolucyi wojskowej w Sebastopolu.

Rządy współczesne nawet w państwach konstytucyjnych, opierają się przeważnie i wyłącznie na armii, która stanowi ich najsilniejszą podporę i obronę. Dlatego też każda rewolucya, chociażby ogarnęła nawet cały naród, jest zazwyczaj bezsilną, dopóki się do niej nie przyłączy armia. Przykładem tego jest obecna sytuacya w Rosyi. Od kilkunastu miesięcy gorzeje tam na całym olbrzymim obszarze rosyjskiego imperyum rewolucya, a gorzeje z siłą, na jaką tylko zdobyć się może naród, który za wszelką cenę pragnie zrzucić z siebie kajdany i wywalczyć prawa człowieka. A jednak, pomimo szalonych wysiłków ze strony całego narodu, pomimo niesłychanej wprost w dziejach solidarności wszystkich sfer społecznych we wspólnej walce o wolność, ileż trudu, ile tysięcy ofiar kosztowało, zanim się rząd zdecydował ustąpić i ogłosić konstytucyę. Zawsze bowiem rząd miał za sobą armię, zawsze mógł przeciw rewolucyonistom wystąpić zbrojnie, łudząc się choćby nadzieją, że karabiny i nahajki zdołają stłumić ruch całego narodu.

Ale rewolucya jest zaraźliwą. Coraz częściej zachodziły wśród „sławnej armi rosyjskiej“ wypadki niesubordynacyi. coraz częściej pojawiały się bunty w poszczególnych oddziałach i pułkach, w których agitacyę socyalistyczną i rewolucyjną rozwinięto w całej pełni, aż wreszcie, kiedy władze wojskowe zaczęły tłumić te bunty z nadzwyczajną surowością, wybuchła w kilku punktach prawie równocześnie rewolucya wojskowa, że wspomnimy jeno Kronsztadt, Sebastopol, Kijów i Petersburg.

Najszersze rozmiary przybrała rewolucya wojskowa w Sebastopolu. Pisaliśmy o jej wybuchu i przebiegu już w poprzednim numerze, więc nie będziemy tego powtarzać. Przeciw rewolucyonistom wysłano admirała Czuchnina. Przez kilkanaście dni trwały ustawiczne walki między wojskiem wiernem carowi, a wojskiem rewolucyjnem. Nareszcie zdołano stłumić rewolucyę. Przeszło 2.000 marynarzy poddało się, w pułkach lądowej armii również przywrócono spokój. Jednak rewolucya ta nie pozostała bez echa. Zdawali sobie z tego sprawę naczelnicy wojskowi, którzy wiedzieli doskonale, że rewolucya sebastopolska będzie zarzewiem wojskowej rewolucyi. I wtedy, kiedy marynarze zbuntowanych okrętów wywiesili białą flagę i poddali się, admiralicya była przekonaną, że nawet ten fakt może być podstępem. Dlatego też przy poddaniu się zbuntowanych, zaprowadzono nadzwyczajne ostrożności. Przyprowadzano ich po kilku grupami przed dowódców, którzy sami bardzo starannie ich rewidowali, czy nie znajdą u którego bomb lub przynajmniej rewolucyjnych odezw. Bomb nie znajdowano, ale odezw rewolucyjnych znaleziono mnóstwo.

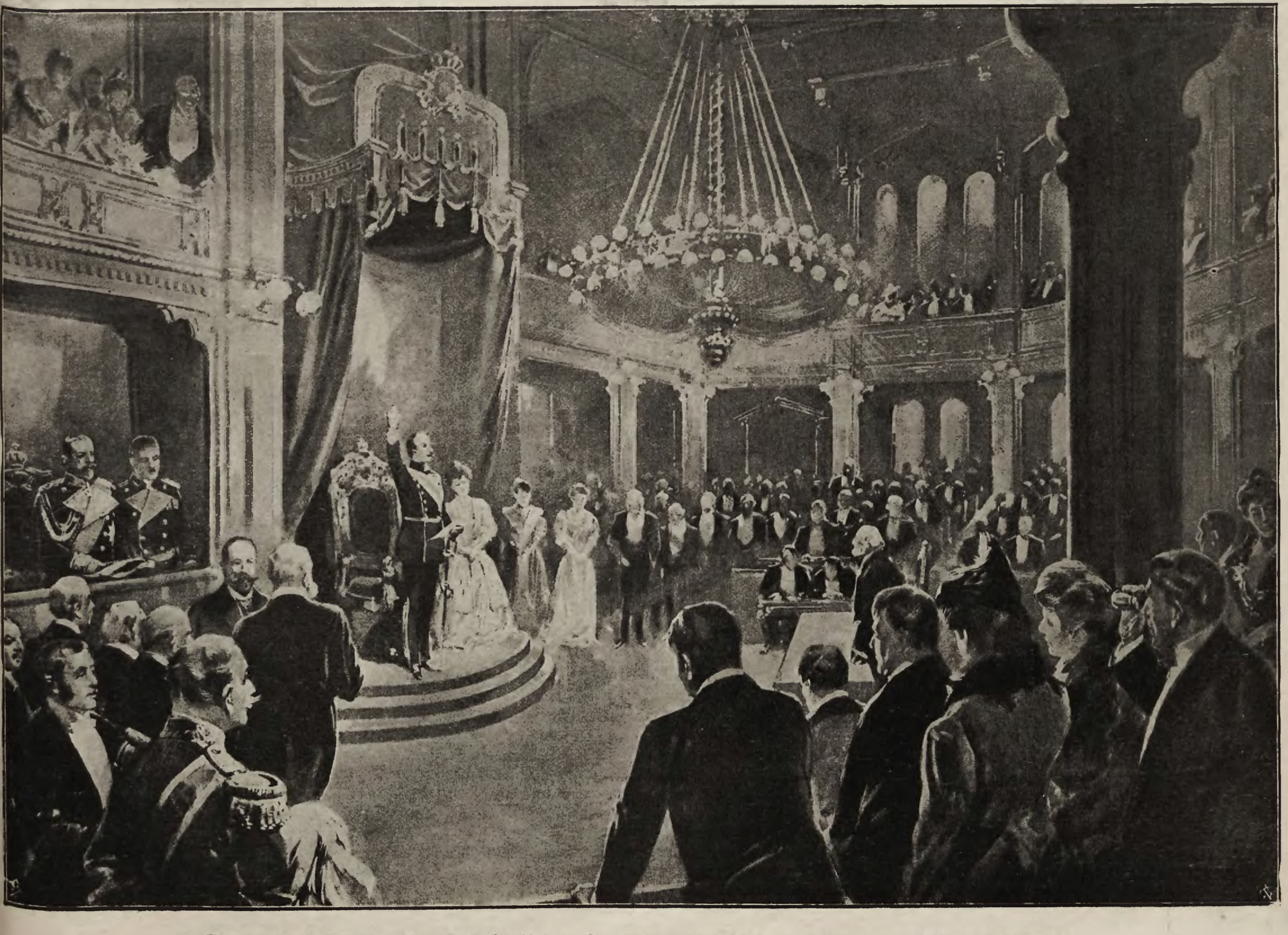
Ilustracya, jaką zamieszczamy w dzisiejszym numerze przedstawia chwilę, kiedy poddających się rewolucyonistów marynarzy, rewidują oficerowie.



Zaprzysiężenie konstytucyi przez króla Hakona VII: Pałac królewski w Chrystyanii od strony ulicy Karola Jana.

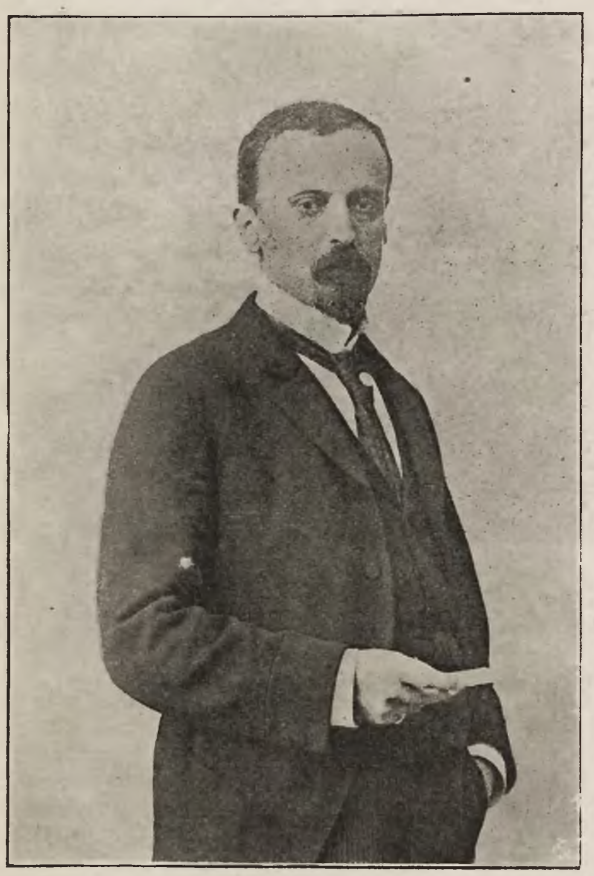
Zaprzysiężenie konstytucyi przez króla Hakona VII.

Od lat blisko sześciuset nie miała Norwegia swego króla; zawsze musiała go dzielić z innymi. Rok bieżący będzie więc w historyi tego północnego państwa epokowym. W roku tym bowiem zrzuciła Norwegia z siebie jarzmo zależności i w listopadzie powitał cały lud norweski swego, przez siebie wybranego młodego króla, który przybył do stolicy Norwegii, aby w niej założyć ognisko rodzinne, aby wraz z obywatelami stanąć na czele rządów.



Zaprzysiężenie konstytucyi przez króla Hakona VII: Król Hakon składa w stortingu przysięgę na konstytucyę.

Wspominaliśmy już kilkakrotnie, że Norwegia jest jednym z najbardziej kulturnych krajów europejskich, a jej konstytucya może być wzorem konstytucyi nowożytnego państwa. Jako król wolnego narodu musiał więc i Hakon VII. złożyć przysięgę na konstytucyę. Uroczyste zaprzysiężenie króla odbyło się dnia 27 listopada w sthortingu, to jest w parlamencie norweskim.



Laureaci nagrody Nobla: Henryk Sienkiewicz.

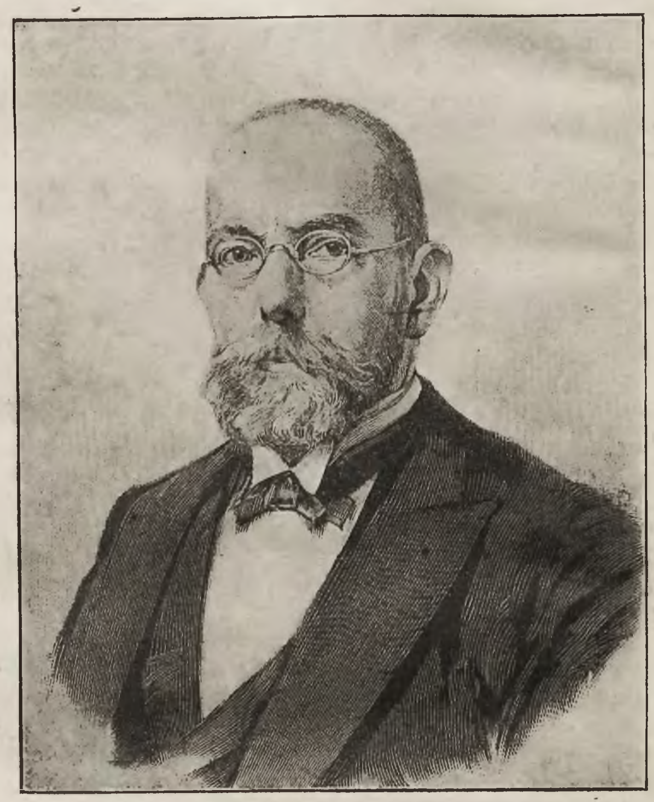
Król ubrany był w mundur generała armii norweskiej, ozdobiony wielkim krzyżem norweskiego orderu św. Olafa. W loży dyplomatów znajdowali się admirałowie obcych mocarstw, między nimi zaś i książę Henryk pruski, następca tronu



Laureaci nagrody Nobla: Berta bar. Suttner.

niemieckiego. Prezydent sthortingu Berner powitał parę królewską na środku sali obrad i wezwał króla do zaprzysiężenia konstytucyi. Król złożył przysięgę, poczem prezydent Berner przemówił raz jeszcze, zaznaczając, że z tą chwilą król stanął na czele państwa, a zakończył okrzykiem: „Niech żyje król Norwegii!" który to okrzyk członkowie sthortingu z zapałem powtórzyli. Następnie król Hakon powitał sthorting, jako reprezentacyę wolnego ludu norweskiego. „Największą radością będzie dla mnie — zakończył Hakon VII. swoją mowę — w jednej myśli ze sthortingiem, na podstawie konstytucyi pracować stale i wyłącznie dla dobra ojczyzny". Na tem zakończyła się uroczystość zaprzysiężenia Hakona VII.

Kiedy król opuścił sthorting, niezliczone tłumy ludu posunęły za nim wśród śpiewu hymnu narodowego ku zamkowi. Zamek ten wznosi się wśród pięknego parku, na wyżynie, u której stóp kończy się główna ulica Chrystyanii, ulica Karola Jana, przy której znajduje się gmach sthortingu, uniwersytet i teatr narodowy. Zbudowany w latach 1825 do 1848, zamek ten zwrócony jest frontem właśnie ku ulicy Karola Jana. Ozdobą zamku jest wspaniały joński portyk. Z płaskiego dachu zamkowego widać doskonale całą Chrystyanię, jej okolicę i fiord, ożywiony kolosalnym ruchem okrętowym. W reprezentacyjnej części pałacu godne widzenia są: sala audyencyjna, ozdobiona wspaniałymi freskami, sala tronowa, jadalna i sala rady państwa. Mieszkania królewskie znajdują się na drugiem piętrze lewego skrzydła zamkowego. Wszystkie pokoje są wspaniale urządzone.



Laureaci nagrody Nobla: Profesor Robert Koch.

Załączone obok ilustracye przedstawiają jedna uroczyste zaprzysiężenie króla Hakona w sthortingu, druga pałac królewski w Chrystyanii.



(Fotografował Mieszkowski Warszawa).

Katastrofa na kolei nadwiślańskiej: Miejsce, gdzie zderzyły się pociągi, na drugi dzień po katastrofie.

Laureaci nagrody Nobla.

Słynny wynalazca najgroźniejszego środka zabójczego, dynamitu, Alfred Nobel, umierając pozostawił testament, który zdziwieniem przejął cały świat cywilizowany. Dynamit bowiem został wkrótce użyty do celów wojskowych i spowodował zupełną zmianę taktyki wojennej w nowszych czasach. Na fabrykacyi tej najsilniejszej z dotychczas znanych materyj wybuchowych, zrobił Nobel kolosalny majątek, który w testamencie przeznaczył na cele ogromnie humanitarne, dyametrycznie przeciwne celom jego wynalazku. To było przyczyną, że cały świat przyjął testament Nobla ze szczerem zdziwieniem.

Nobel pozostawił majątek, wynoszący około 4.000.000 koron. W testamencie zaś rozporządził nim w następujący sposób: Procent, jaki będzie ten majątek przynosił rocznie, ma być rozdzielony na pięć równych części. Każda część ma służyć na nagrodę za największy wynalazek lub odkrycie w fizyce, za największy wynalazek lub ulepszenie w chemii, za najdonioślejszą pracę w dziedzinie fizyologii lub medycyny, za najcelniejszy utwór literacki w kierunku idealistycznym, nareszcie piątą część ma otrzymać ten, kto najwięcej zdziałał na polu zbratania ludów, zniesienia lub zmniejszenia stałych armij, wogóle na polu pokojowem. Fundator zaznaczył wyraźnie, aby przy rozdawaniu nagród kierowano się jedynie największą zasługą, bez względu na narodowość laureata. Dzisiaj nagrody Nobla wynoszą każda po 200.000 koron.

Corocznie w dzień 10 grudnia w murach Akademii nauk w Sztokholmie dokonywa się akt niemałej pod względem kulturalnym świetności. W dzień ten bowiem kandydaci do nagrody Nobla, przedstawieni przez rozmaite instytucye naukowe, otrzymują nagrodę, która, dzięki swym warunkom, czyni ten dzień jakby ogólnoludzkiem świętem ducha.

W tym roku nagrodę Nobla za pracę w zakresie literatury przyznano Polakowi, głośnemu autorowi „Quo vadis“, Henrykowi Sienkiewiczowi. Jest to dla Sienkiewicza i dla środowiska, z którego świeży laureat wyrósł i wśród którego pracuje, dla narodu polskiego chlubą i chwałą. W akcie fundacyjnym zaznaczono wyraźnie, że przy ocenianiu kandydatów rozstrzyga kierunek idealistyczny. Udzieleniem nagrody Sienkiewiczowi uczczono w nim nie tylko zna omitego artystę pióra, nietylko pisarza świetnej sławy, lecz reprezentanta literatury i duchowej kultury narodu, uczczono coś więcej niż talent i idealistyczną szlachetność jednostki, ale uznano, że idealizm, przenikający twórczość Sienkiewicza, wyrósł z narodu, wśród którego żyje i działa twórca, uznano, że lot artystyczny i myśl owy jego dzieł jest wykwitem narodowej kultury i narodowej etyki, uszlachetnionej wiekowym bólem. I w tem właśnie, że stwierdzono to głośno i w przełomowej chwili, leży znamienność udzielenia nagrody Nobla Sienkiewiczowi. Fakt ten musi podnieść w tej chwili duchowy nastrój narodu i zwiększy jeszcze uznanie i cześć, jaką Polska zawsze nieśmiertelnego twórcę Trylogii otacza.

Nagrodę za działalność na polu zbratania narodów otrzymała bar nowa Berta Suttner. Kobieta to znana ze swej szlachetnej pracy, owianej tchnieniem najszczytniejszego chrystusowego idealizmu. W szeregu dzieł literackich wykazała Suttnerowa całą grozę i ohydę wojen współczesnych, wszczepiając w społeczeństwo ideę miłości bliźniego w najszerszem tego słowa znaczeniu, że wspomnimy tylko „Precz z orężem“ książkę, przetłómaczoną i na język polski. Poza tem położyła Suttnerowa niemało zasług, inicyując konferencye pokojowe. Berta Suttner, urodziła się w roku 1843 w Pradze, jako córka hr. Kinsky'ego. W 1876 poślubiła powieściopisarza Artura Suttnera. Obecnie mieszka stale w zamku Hermansdorf w Austryi Dolnej, propagując przez całe życie ideę powszechnego pokoju.

W dziale medycyny otrzymał nagrodę Nobla profesor Robert Koch z Berlina. Nazwisko jego stało się głośnem głównie z powodu odkrycia bakcylów cholery, tej straszliwej epidemii, jaka i w roku bieżącym w Niemczech północnych grasowała. Zasługi jego w medycynie są rzeczywiście olbrzymie, nagroda Nobla zupełnie słusznie mu się więc należała.



Autor „Wicka i Wacka“ Zygmunt Przybylski.

W uzupełnieniu artykułu podajemy obok portrety laureatów nagrody Nobla z tego roku, t. j. Sienkiewicza, bar. Suttner i prof. Kocha.

Katastrofa na kolei nadwiślańskiej.

Zdawałoby się napozór, że dzisiaj środki komunikacyi zostały tak udoskonalone, iż wykluczają wszelką możliwość niebezpieczeństwa dla podróżnych. Ruch kolejowy ma przecie na swoje usługi telefon i telegraf; każde, najmniejsze nawet spóźnienie, sygnalizuje się natychmiast wszystkim stacyom na całej linii, które wstrzymują na pewnych częściach ruch, ażeby uniknąć katastrofy. Pomimo to jednak katastrofy kolejowe nie są wcale rzadkością i co dzień prawie mają miejsce. Przyczyną ich bywa zazwyczaj nieostrożność lub zaniedbanie urzędników ruchu, których jednakże nie można winić i zwalać na nich całej odpowiedzialności; są oni zazwyczaj przeciążeni pracą i nie mogą podołać swoim obowiązkom; winnym więc jest główny zarząd ruchu, który przez względy oszczędnościowe zazwyczaj, nie rozporządza odpowiednią ilością sił, któreby mogły sumiennie spełniać obowiązki i w ten sposób zapobiegać nieszczęściu.

Przed dwoma tygodniami miała miejsce katastrofa kolejowa w Królestwie Polskiem, na kolei nadwiślańskiej. W Nasielsku, niedużej stacyi na tej linii kolejowej, spotkały się ze sobą dwa pociągi, warszawski mięszany z towarowym, idącym z Gąsocina. Przyczyną katastrofy było fałszywe nastawienie zwrotnic. Ta drobna napozór nieostrożność spowodowała śmierć trojga i poranienie przeszło 30 osób. Lokomotywa pociągu towarowego została formalnie zdruzgotaną, lokomotywa drugiego pociągu uszkodzoną tak, że nie można jej będzie używać bez ogromnych reperacyj. Piętnaście wagonów zostało zupełnie strzaskanych. Maszynista pociągu towarowego Duderus i nadkonduktor Jaworski zostali zabici; drugi maszynista, Kosmowski, ciężko ranny zdołał ujść z życiem.

Widok miejsca katastrofy był straszny. Tor cały zawalony był żelazem i szczątkami wagonów, które zajęły przestrzeń blisko pół kilometra.

W kilku miejscach rozluźniły się nawet śruby, jakiemi przymocowane były szyny, wskutek czego popsuty został tor. Do usunięcia rumowiska z toru potrzeba było blisko dwa dni; przez ten czas normalna komunikacya między Mławą a Warszawą musiała być przerwana.

W uzupełnieniu artykułu podajemy obok fotografię, przedstawiającą widok zniszczonego pociągu towarowego na drugi dzień po katastrofie.

Autor „Wicka i Wacka“.

Któż nie zna „Wicka i Wacka“? Któż choć raz nie widział tej komedyi na scenie? Sztuka to, która obiegła wszystkie sceny polskie, graną była niezliczone razy i zawsze wywoływała huragany oklasków, czy to w teatrach warszawskich, czy na scenach Krakowa, Lwowa lub Poznania, czy wreszcie w teatrzykach prowincyonalnych. „Wicek i Wacek“ jest bowiem komedą, w całem tego słowa znaczeniu swojską, polską, naszą; niema w niej nic obcego; typy, jakie tam są przedstawione, to typy szczerze nasze, pogodne, pełne jowialnego humoru, nie szarpiącego nerwów, ale tego zdrowego, czerstwego humoru polskiego, który zmusza słuchacza do ustawicznego serdecznego śmiechu i mimowoli składa wszystkim ręce do grzmiących oklasków.

Autor „Wicka i Wacka“ Zygmunt Przybylski, stał się, właśnie dzięki tej komedyi, postacią znaną i cenioną w całej Polsce. „Wicek i Wacek“ do którego wystawienia po raz pierwszy mija właśnie w roku bieżącym lat 20, był pierwszym występem Przybylskiego na większą skalę; odrazu podbił słuchaczów i po dziś dzień nie przestał być silnym magnesem dla publiczności, powodując nadzwyczajną popularność autora. Gdyby Przybylski żył we Francyi i napisał „Wicka i Wacka“ po francusku, to jesteśmy przekonani, że dzisiaj miałby już wspaniałą willę nad morzem, kamienicę w centrum Paryża i majątek ziemski, choćby nic innego nie napisał. — U nas inaczej. — U nas Przybylski musi się zadowolnić jedynie laurami i wieńcami, których mu, trzeba to przyznać, publiczność nie szczędzi. Przybylski nie tylko po „Wicku i Wacku“, ale po całym szeregu dalszych utworów dramatycznych z „Dworem we Władkowicach“ na czele, nie kupił — możemy to szanownym czytelnikom zaręczyć — ani willi ani kamienicy. Dobrze przynajmniej, że go laurami uczczono, bo u nas i o to trudno. Pamiętny jubileusz „Wicka i Wacka“ na scenie warszawskiej przed dwoma laty uwydatnił wówczas ogromną sympatyę, jaką publiczność darzy Przybylskiego. Stosy kwiatów, wieńców, srebrnych i złotych upominków, sypały się na scenę jak z rogu obfitości, jako nagroda za wytrwałą i pożyteczną pracę dla literatury dramatycznej.

Przybylski ujawnił w całym szeregu sztuk pogodny, jasny, zdrowy, nasz swojski humor i to jest przyczyną powodzenia jego utworów. A jest ich liczba istotnie imponująca. W dorobku literackim posiada bowiem Przybylski przeszło 40 sztuk, z których kilka nie ustępuje bynajmniej „Wickowi i Wackowi“, dość wspomnieć „Dwór we Władkowicach“, „Bzy kwitną“, „Grajek“, „Pożegnanie“ i tyle innych.

Krytyka wypełniła swój obowiązek już dawno, stawiając Przybylskiego w szeregu pierwszorzędnych komedyopisarzy, podnosząc jego niepospolity talent, pogodny humor i werwę. Publiczność stale oklaskuje utwory znakomitego autora, oddając temsamem hołd jego talentowi i to nietylko publiczność nasza, ale i obca, wśród której, jak np. w Czechach, Przybylski należy do najbardziej wziętych autorów. Wśród kolegów po piórze i przyjaciół cieszy się autor „Wicka i Wacka“ niezmierną sympatyą i szacunkiem. Pełen werwy i humoru, zawsze ożywiony i wesoły, daleki od wszelkiej próżności i zarozumiałości, z upodobaniem pracuje Przybylski dla sceny polskiej, obdarzając ją co pewien czas jakimś nowym, doskonałym utworem.

Kraków zna dobrze Przybylskiego. Tutaj autor „Wicka i Wacka“ kończył szkoły średnie i uniwersytet, na scenie krakowskiej zakwitła też po raz pierwszy jego „Gałązka jaśminu“.

W uzupełnieniu tej sylwetki podajemy obok portret p. Zygmunta Przybylskiego.

Zygzakiem.

(Fałszywy sąd o nas. – Z historyi Wawelu. — Co rząd robi „dla dobra narodu“. – Przygotowawcze roboty przed restauracyą Wawelu. -- Kto ma pilnować Wawelu. – Jacy my jesteśmy wdzięczni i za co my nie będziemy wdzięczni. — Co nam po powszechnem prawie wyborczem. – Galicya górą! – Klika socyalistyczna. – Rewolucyjny rok. – Zaraza rewolucyjna. – Jedyna obrona przed rewolucyjnością barona Gautscha. – Hr. Dzieduszycki i reforma wyborcza. — Mniejszość ma racyę. — Epizod z rewolucyi rosyjskiej. — Rewolwerowy wieloryb).

Powiedział ktoś — nie pomnę już kto — że my, Polacy, jesteśmy narodem bardzo niewdzięcznym i wytknął, że to jest jedną z naszych największych wad. Są wprawdzie różne o nas zdania ale z nich wszystkich powyższe jest może najmniej usprawiedliwione. Tak przynajmniej sądzi podpisany kronikarz, zaznaczając odrazu dla uniknięcia wszelkiej niejasności, że również dobrze zna polskie społeczeństwo i również starannie je studyuje. Aby zaś twierdzenie moje nie było gołosłownem, postaram się o dowody.

Otóż wiadomo powszechnie, że nareszcie, po długich pertrakcyach i układach, w których wybitną rolę odgrywała nasza sławna armia austryacka, zdołaliśmy wykołatać u dworu przyrzeczenie, iż stara siedziba królów polskich, sędziwy Wawel, otrzymamy napowrót. Musieliśmy wprawdzie długo czekać na urzędowe ogłoszenie aktu darowizny naszej najświętszej własności, musieliśmy się zobowiązać, że własnym kosztem wystawimy dla wojska, ustępującego z Wawelu, koszary, wystawiliśmy te koszary za sumę przeszło 3 milionów i nareszcie Wawel stał się naszym, oddano nam go w nasze ręce; zatrzymano wprawdzie bramę główną w ręku wojskowości, zostawiono jeszcze trochę wojska na Wawelu, ale to jedynie „dla dobra narodu“, który, uniesiony zapałem, mógłby snadnie bez tej opieki dokończyć dzieła zniszczenia, chlubnie wszczętego przez c. k. armię, która przyczyniła się niemało do urozmaicenia ścian królewskich pokojów i zmodernizowania starych, średniowiecznych kominków w komnatach. Pozostawienie części wojska na Wawelu było jednym jeszcze chlubnym dowodem, jak rząd się nami opiekuje, w jaki sposób nawet sam przyczynia się do zmniejszenia kosztów restauracyi, które my mamy ponosić, gdyż bezpłatnie odrapuje tynk, odświeża zblakłe barwy fresków szuwaksem, przyspieszając temsamem rozpoczęcie restauracyi, gdyż za darmo załatwia roboty przygotowawcze. Że brama główna została w ręku wojskowości, to także nic dziwnego. Przecież niema kto stać na straży Wawelu. Policya nie chciała, p. dyrektor Flatau powiedział, że nie lubi się mięszać w nieswoje sprawy i że go Wawel nic nie obchodzi, taksamo, jak go nie obchodzą żadne demonstracye i pochody z czerwonymi sztandarami, p. Nowotny oświadczył, że strażaków pośle wtedy, jak się Wawel będzie palił, a na razie strażacy mają dość roboty w rzeźni miejskiej z wodociągami, ponadto nie mogą zaniedbywać codziennych ćwiczeń w skakaniu z pierwszego piętra na płachtę, ażeby się mogli w czasie pożaru skutecznie ratować. Nie było kogo postawić na straży przy bramie wawelskiej, bo nawet magistrat nie miał ludzi do tego. Rząd to zawczasu przewidział, znając naszą autonomię i zapobiegł katastrofie, zostawiwszy trochę wojska. Jakżeby zresztą wyglądał Wawel bez naszej armii, bez naszych zuchów z Czech i Moraw i z niemieckich prowincyi austryackich!

Ale powracam do rzeczy. Otóż natychmiast po ogłoszeniu, iż cesarz darowuje nam Wawel, wysłał sejm galicyjski deputacyę z podziękowaniem do cesarza. Ogłoszono nam później, że mamy wystawić koszary dla wojska — pojechała znów deputacya z podziękowaniem. Przeszedł Wawel w nasze ręce — znowu deputacya dziękczynna jedzie do Wiednia. I śmią mówić, że my nie jesteśmy wdzięczni!!

Wprawdzie zapominamy w zupełności o wielkich naszych talentach, które marnieją i częstokroć z nędzy umierają w szpitalu, wprawdzie dzieci naszych geniuszów nawet muszą się nieraz tułać za granicą, bo u nas kawałka chleba im nie damy, ale za to, jak tylko rząd coś dla nas zrobi, to mu już dziękujemy i dziękujemy bez końca. Deputacya za deputacyą jedzie do Wiednia, który jest rozbrojony naszą wdzięcznością i — o ile się dowiaduję — nam zamiar pokazać nam dowodnie, że tę wdzięczność naszą oceniać umie.

Rząd zamierza podobno powiększyć w tym roku liczbę rekruta w Galicyi — pojedziemy mu za to podziękować; odmówi nam subwencyi na ulepszenie naszych zakładów naukowych — pojedziemy dziękować; podniesie podatki — wyślemy doń deputacyę dziękczynną; obieca nam wystawić za 100 lat port w Dębnikach — pojedzie deputacya i z sejmu i z miasta Krakowa; przyrzeknie upaństwowienie kolei północnej za kilka lat — również mu podziękujemy. I co tu gadać o niewdzięczności! Nas tylko pogłaskać, a już plackiem leżymy z wdzięczności.

Ale jest jedna rzecz, za którą nie pojedziemy dziękować do Wiednia. Naród nasz — to znaczy szlacheccy członkowie galicyjskiego sejmu — lubi deputacye słać do Wiednia, jako że po każdej deputacyi grono przedstawicieli „narodu“ otrzymuje ordery itp. odznaki w dowód uznania od rządu, ale jestem przekonany, że sejm nie wyśle deputacyi, jak rząd zaprowadzi i w Galicyi powszechne, równe, tajne prawo głosowania. Bo też miał się z czem wybrać baron Gautsch, aż z reformą wyborczą! W naszym kraju „mamy przecież jeszcze spokojny dach nad głową“ — jak powiedział nasz augur i ojciec błękitnej części narodu — ki nam dyabli po powszechnem prawie wyborczem! My jesteśmy i tak bardzo szczęśliwi; w Galicyi zaledwie kilkaset ludzi umiera rocznie z głodu, liczba wychodźców do Ameryki i do Prus stanowczo jest wyższa, aniżeli w innych prowincyach, urzędnicy nigdzie nie są tak obdłużeni, jak w Galicyi, nauczyciele ludowi nigdzie nie są tak traktowani jak u nas, analfabetyzm kwitnie, jak nigdzie, bieda większa jak w jakimkolwiek kraju, podatki przewyższają swą sumą dochody fiskalne dwóch innych prowincyi naraz, socyalistów jest u nas mniej jak gdziekolwiek indziej — chociaż te socyalisty zanadto się teraz mnożą — szkół ludowych mamy również dosyć, niektóre stawiają nawet prywatne stowarzyszenia własnym kosztem, fabryk mamy mało, ale za to szynków więcej jak w całej Austryi razem — wogóle na każdem polu jesteśmy górą. I po co nam reforma wyborcza? Przecież, gdyby tę reformę u nas wprowadzono w życie, sejm nasz, jedyny sejm na ziemiach polskich, stałby się reprezentacyą nie narodu, ale socyalistycznej kliki, która przecie tyle kłopotu narobiła Rosyi, tyle ofiar z szeregów polskich robotników pożarła. Przecież to wszystko można było spokojnie zrobić, jeno cierpliwości troszeczkę. Ale te socyalisty są stanowczo narwane! Byłoby się posłało kilka deputacyi dziękczynnych i błagalnych do Petersburga i mielibyśmy byli w Królestwie tosamo, co zrobiła rewolucya, tylko trochę, może o sto lat — później. Bardzo ładnie wykładał to „Czas“ krakowski i „Słowo polskie“ z początkiem bieżącego roku.

Ale ten rok wogóle jest rewolucyjnym. Nawet temperatura strejkuje. Połowa grudnia dobiega, a tu jeszcze śniegu ani na lekarstwo; coś niecoś tam na drzewach szronu, ale i ten zaraz taje. Rewolucya w przyrodzie! A trzeba przyznać, że rewolucya działa fatalnie zaraźliwie! Zaraził się nią nawet „Czas“, nawet „Słowo polskie“, które to pisma już nie ciskają piorunów na rewolucyę w Królestwie i nawet doszły do tego, że przyznają pewnej części robotników, to znaczy nie socyalistom, zasługę zdobycia i wywalczenia konstytucyi. Ktoby to był przypuszczał przed 8 jeszcze miesiącami!

I baron Gautsch musiał się zarazić rewolucyą, że nagle ni stąd ni zowąd sam zaproponował reformę wyborczą. No, ale w chwili tak dla naszej c. k. ojczyzny ważnej i wielkiej, w chwili, kiedy nawet kierownicy nawy państwowej stracili „rozum polityczny“ – znalazła się na szczęście w parlamencie partya, która jasno zdaje sobie sprawę, z niebezpieczeństwa, jakiem grozi reforma wyborcza na powszechnem prawie głosowania oparta, naszej biednej Galicyi i wystąpiła ostro i stanowczo przeciw tej reformie. Hrabia Dzieduszycki, jedyny mąż stanu, który zachował „giętki“ rozum polityczny w tak przełomowej chwili, uderzył, jak on Don Kiszot z Manszy — przepraszam za wyrażenie, które mi się pod pióro nasunęło, ale go nie cofam — na barona Gautscha i na rząd cały i w piorunującej mowie, poprawianej na kilku posiedzeniach koła polskiego i wykutej doskonale na pamięć, udowodnił, że – Właściwie on nic nie udowodnił. Ale mówił dużo i mądrze, aż się przeważna część posłów śmiała i uratował sytuacyę, a barona Gautscha wtrącił w nielada pułapkę. Mowę jego przeciw reformie wyborczej zbił wprawdzie paskudnie słowo za słowem Daszyński i inni mówcy, wywody hrabiego Dzieduszyckiego nie trafiły wprawdzie do przekonania posłów, z których zaledwie kilku osobistych przyjaciół hrabiego Dzieduszyckiego i kilku posłów niemowlęcych, to znaczy, nigdy nie zabierających głosu, opinię prezesa Koła polskiego podzielało, ale, pocieszmy się. Wszakże jeden z niedawno zmarłych filozofów niemieckich, w którym jednakże płynęła jakaś mała cząstka krwi polskiej, słynny nadczłowiek Nietsche powiedział, że „mniejszość ma zawsze racyę“. A więc i hr. Dzieduszycki miał racyę, mówiąc i udowadniając, że powszechne prawo głosowania jest niepotrzebne i dla naszej c. k. ojczyzny zgubne. Tylko powiadają, że Nietsche był podobno — waryatem. Więc i hr. Dzieduszycki byłby?... Ale gdzież! Przecież my wysyłamy do parlamentu i do sejmu jedynie ludzi, którzy mają choćby papiery szlacheckie, a co oni mają w głowie, to wie świat cały — my wiedzieć nie chcemy.

Na zakończenie chciałem jeszcze podać czytelnikom wesoły epizod z rewolucyi rosyjskiej.

Przed kilku tygodniami przybył do Petersburga statek niemiecki, na którym znajdował się cały szkielet olbrzymiego wieloryba. Właściciel statku naznaczył niską cenę wstępu, więc też mnóstwo ludzi codziennie zwiedzało ów statek, aby módz oglądnąć szkielet morskiego potwora. Szkielet ten musiał mieć kolosalną wagę, bo statek był bardzo głęboko zanurzony w wodę, a publika, w przeważnej części ze sfer uboższych, z robotników złożona, musiała schodzić po schodkach na dół, aby módz zobaczyć potwora. Tymczasem policya petersburska zauważyła, że statek z dniem każdy podnosi się nad wodę, tak, że nareszcie publika musiała się po kilku schodach drapać w górę, aby dojść do wieloryba.

Policyi wydało się to podejrzanem, zrobiła więc rewizyę statku i przekonała się, że...? Otóż cały szkielet wieloryba zrobiony był z tektury, a w niej ukryte były rewolwery systemu Browninga, które rewolucyoniści tym sposobem przywieźli do Petersburga i pod okiem policyi rozdawali robotnikom. Rewolwerów tych miało być na statku ogółem — jak podaje „Petersburska Gazeta“ — 100.000 sztuk. Policya znalazła jedynie kilkaset. Świadczy to o nadzwyczajnej pomysłowości rewolucyonistów, którzy się energicznie przygotowują do ostatniej, zwycięskiej walki z caratem. *J. R.*

Kącik humorystyczny.

Puchacz i papuga.

(Bajka).

Stary puchacz żył na zamku
Skuty do łańcucha,
Lecz w niewoli nic nie stracił
Z zalet swego ducha.
I prostując codzień skrzydła
Próbował powoli,
Czy mu czasem się nie uda
Uciec z tej niewoli?
Męczył się więc, męczył, łudził,
Trwało to dość długo,
Aż służący obok niego
Dał klatkę z papugą.
I w tej chwili zawładnęła
Ptakiem miłość święta
I ostatnim swym wysiłkiem
Stargał własne pęta.
Potem wyrwał tę warzyszkę
Z jej drucianych oków
I zawołał: „Mamy wolność,
Lećmy do obłoków!“
W lesie gniazdo się znalazło
Dla owego stadła,
Tam papuga mówi zaraz:
„Jabym tak coś zjadła!“
— „Powiedz luba — puchacz na to
Jakie twoje gusta?
Może żabka lub jaszczurka
Albo myszka tłusta?“
A papuga rzecze dumnie:
„Mówisz pan dziecińsiwa!
Gdzieżbym ja, papuga z papug
Jadła takie świństwa?
Ja chcę tortów i cukierków,
Bakalii, daktyli,
O to wszystko się postaraj
Natychmiast — w tej chwili!“
— „Lecz w tym lesie – bąknął puchacz
Niema tego wcale!“
„Chcę mieć tort“ – papuga wrzeszczy
Bo ci łeb rozwalę!
Po co brałeś mnie z mej klatki
Przebrzydły tyranie,
Gdy wyżywić jednej żony
Nie jesteś dziś w stanie?!“

Krk.

LUDWIK STASIAK.

TOMBOLA.

HUMORESKA.

Jeśli idzie o dobro publiczne, trzeba zapomnieć o własnych cierpieniach. Może to i lepiej. Praca dla dobra ogółu zatrze pamięć moich niepowodzeń. Co za pech! Żeby też jeden uśmiech losu, jeden promyk szczęścia! Żeby raz wygrać na loteryi, żeby raz gdzieś, coś... Płacę przez dwadzieścia lat zabezpieczenie ogniowe i dom mój się wcale nie pali; ten, co ma szczęście, a ubezpieczy się na życie, to go na drugi dzień apopleksya trafi, ja zaś sto lat żyć będę, żeby towarzystwo ubezpieczeń milionów się na mym pechu dorobiło...

Tombola na cele dobroczynne. Muszę się cały oddać pracy w komitecie, którego jestem prezesem. Dziś rano kupowałem fanty, popołudniu kazałem drukować bilety. Wieczorem zacznę urządzać fantową wystawę. Materyał wspaniały. Komitet wiele zakupił, całe miasto dało podarunki. Marszałkowa ofiarowała srebrny serwis rokkoko, a hr. Lipicki bronzową szkatułę na cygara. Oczywiście ja, jako prezes, muszę sam nabyć znaczną ilość losów. — Po co? Dla przyzwoitości, dla zachęcenia innych. A zresztą... kto wie! Żeby się los uśmiechnął, żeby tak ten serwis lub szkatułę wygrać! Gdzie ja wygram! O! Gdyby tam między fantami był weksel do zapłacenia, tobym ja napewne go wygrał! Gdyby tam była kultura jakich wściekłych bakcylów, jaki jad wężowy lub podatkowy edykt licytacyjny, tobym ja go zaraz wygrał!!

* * *

Serwis i szkatuła są prześliczne, *clou* jednak wystawy, główną wygraną i tombolą będzie obraz. Wspaniała i cenna rzecz. Arcydzieło, które kosztuje dwa tysiące. Ludzie się będą pchać. Skąd my przyszliśmy do takiego fantu? Właśnie w tej sprawie wczoraj otrzymałem list. Było to tak. Prezesem stowarzyszenia nowożytnych artystów był sławny malarz Cynobrowicz. Artyści ci urządzili własny salon w Krakowie. Honorowym protektorem stowarzyszenia zamianowali księcia Kijowskiego. Poszła do niego deputacya we frakach, imieniem deputacyi przemówił Cynobrowicz. Książę protektorat przyjął, obiecał sam otworzyć wystawę. Ale tylko obiecał. Bo na otwarcie wystawy nie przyjechał. Nie przyjechał zaś dlatego, bo siedział wtedy w Mentonie. Ale przysłał artystom telegram gratulacyjny. Do sekretarza swego napisał: W dniu otwarcia kupić obraz Cynobrowicza. Sekretarz poszedł oczywiście na wystawę i obraz kupił. Zapłacił 2000. To niedużo. Bo wszystkie dzienniki, wszyscy recenzenci uważali obraz ten za arcydzieło. Pisali, że to przełom sztuki, że od tego obrazu nastaje nowa epoka.

Książę wrócił do kraju w czerwcu, po zakończeniu wystawy. W domu zastał zakupiony obraz. Patrzył na niego długo. Patrzył, potem spacerował po pokoju, potem tarł ręką czoło, potem znowu patrzył. Nagle spojrzał na kalendarz... Był to właśnie dzień imienin jego kuzynki, baronowej Hamerstein. Siadł natychmiast przy biórku i napisał bilet, który brzmiał tak: „Życząc ci. droga kuzynko, wszelkiej pomyślności, posyłam ci w darze obraz Cynobrowicza. Jestto sławne dzieło. „Kuryer warszawski“ nazwał ten obraz zjawiskiem“.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Rozwiązania z Nru 47.

Szarada.

Ka-ra-wa-na.

Logogryf.

Aryanie.
Byron.
Orzeszkowa.
Nowosław.
Udo.
Janczar.
Chalkopiryt,
Isokrates.
Eisenau.
Izrael.
Cyryl.
Zaleski.
Yapura i Ucayoli.
Tyniec.
Adaś.
Juno.
Cietrzew.
Inturko.
Eden.

Łamigłówka.

		B	a	J	k	a		
	A	b	r	a	h	a	m	
		m	a	n	n	a		
			o	S	a			
			P	o	l			
		t	a	b	o	r		
		A	l	i	n	a		
			b	e	z			
	R	z	e	s	z	ó	w	
		s	u	k	n	o		
p	i	l	n	i	k	a	r	z

Jan Sobieski.

Dobre rozwiązania nadesłali PP.: Helena Ulrych w Malinie, Józef Czaczka Rzeszów, Kazimierz Jorkiewicz Tłumacz, A. Skulski Lwów, Józef Duszyński Niepołomice, Wanda Madeyówna Rzeszów, Jan Biegoń Ślemień, Aniela Huzarowa Byczkowce, „Gwiazda“ Rzeszów, E. Bogdalska Koropuż. Helena Mokrzycka Turbia, A. Żralski Podgórze, St. Bassara Niwiska, Józef Wróbel Łękawica, Julia Kwoczyńska Sanok, Maryan Cichewski Kraków, Tadeusz Domain Sanok, Marya Zintlowa Brody, Edmund Viweger Winterthur, Mieczysław Rożański Gorlice, B. Ramułtowa Jeżów, Józefowie Nowiccy Sokal, Szczepan Nowak Tarnów, K. Chłopicka Zawałów, H. Dydacka Żurawno, Marya Opolska Czarny Dunajec, Fr. Sławiński Wierzchosławice, Helena Donning Schodnica, Marya Arbesbauer Lwów, Ignacy Talaga Skole, Stanisław Zurawno, Paweł Wierzba Trzyniec, K. Hodkiewicz Zbydniów, Franciszek Wójtowicz Przemyśl, Karol Fuchs Peczeniżyn, Badura Rożdzień, Leonard Janiec Buczacz.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. Badura w Rożdzieniu. Prosimy o nadesłanie 72 hal. na koszta przesyłki.

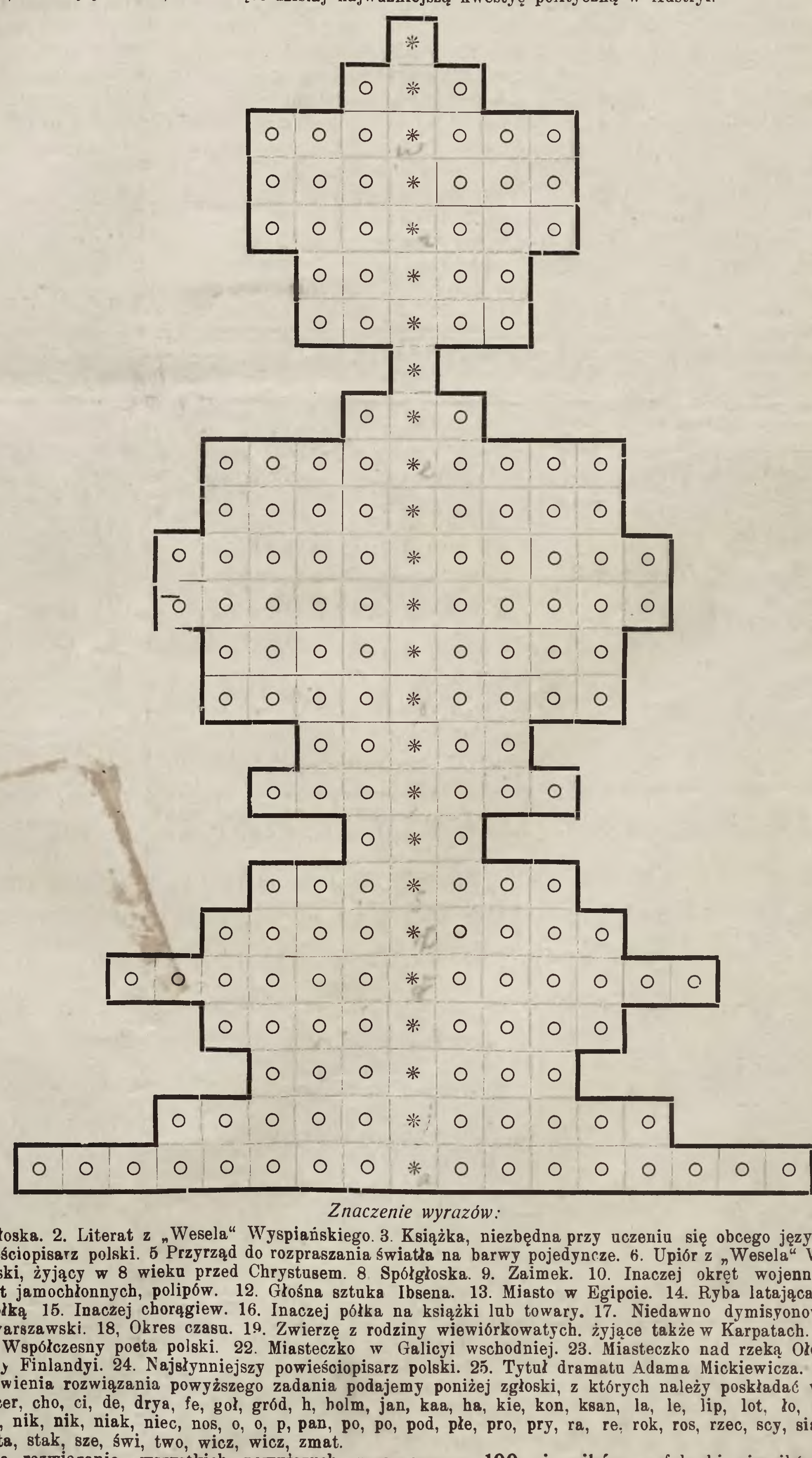
Zagadki do nagrody.

Szarada.

Pierwsze jest rzeka we włoskiej krainie,
Do Adryatyku powoli płynie
Liczne dopływy przyjmuje z boku,
Pierwsze i *drugie* — to okres roku.
Drugie i *czwarte* przyrząd muzyczny,
Który w swych strunach ma ton liryczny.
Raz drży rzewnością, to szlocha bolem,
Jest i poezyi zdawna symbolem.
Trzecie i *czwarte* w każdej podróży.
Do oznaczenia przestrzeni służy,
W tańcu ma także swoje znaczenie,
U młodych panien szczególniej w cenie.
Bo która nie ma twarzyczki ładnej,
Na balu pewnie nie zrobi *żadnej!*
Całość — stolarze w użyciu mają,
Gdy swe wyroby do sklepów dają!

Zadanie.

Kółka i gwiazdki należy zastąpić przez litery w ten sposób, ażeby środkowe litery, oznaczone gwiazdkami, czytane z góry na dół, utworzyły zdanie, stanowiące dzisiaj najważniejszą kwestyę polityczną w Austryi.



Znaczenie wyrazów:

1. Spółgłoska. 2. Literat z „Wesela“ Wyspiańskiego. 3. Książka, niezbędna przy uczeniu się obcego języka. 4. Współczesny powieściopisarz polski. 5 Przyrząd do rozpraszania światła na barwy pojedyncze. 6. Upiór z „Wesela“ Wyspiańskiego. 7. Król egipski, żyjący w 8 wieku przed Chrystusem. 8. Spółgłoska. 9. Zaimek. 10. Inaczej okręt wojenny. 11. Odłam typu zwierząt jamochłonnych, polipów. 12. Głośna sztuka Ibsena. 13. Miasto w Egipcie. 14. Ryba latająca, zwana także morską jaskółką 15. Inaczej chorągiew. 16. Inaczej półka na książki lub towary. 17. Niedawno dymisyonowany generał-gubernator warszawski. 18, Okres czasu. 19. Zwierzę z rodziny wiewiórkowatych. żyjące także w Karpatach. — 20. Inaczej Belgrad. 21. Współczesny poeta polski. 22. Miasteczko w Galicyi wschodniej. 23. Miasteczko nad rzeką Ołonką w Rosyi, blizko granicy Finlandyi. 24. Najsłynniejszy powieściopisarz polski. 25. Tytuł dramatu Adama Mickiewicza.

Dla ułatwienia rozwiązania powyższego zadania podajemy poniżej zgłoski, z których należy poskładać wyrazy: a, bar, bia, cer, cho, ci, de, drya, fe, goł, gród, h, holm, jan, kaa, ha, kie, kon, ksan, la, le, lip, lot, ło, ło, łon, mers, mień, na, ne, nik, nik, niak, niec, nos, o, o, p, pan, po, po, pod, płe, pro, pry, ra, re, rok, ros, rzec, scy, siak, sien, skał, słow, spro, sta, stak, sze,świ, two, wicz, wicz, zmat.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych, przeznaczamy: **100 pierników** z fabryki pierników i czekolady J. Michalika w Krakowie.

We własnej sieci.

Współczesna powieść kryminalna.

Z angielskiego przełożył M. S.

30 (Ciąg dalszy).

Niebawem, mimo jego całej pozornej powściągliwości i sztywności, zostaliśmy szczerymi przyjaciółmi i dzięki temu poznałem, że flegmatyczny ten i etykietalny syn Albionu, był w gruncie rzeczy chłopakiem skorym do zabawy i uciech wcale nie wybrednych, który co wieczór, gdy spodziewał się, że go nikt nie obserwuje, szukał rozrywek po najordynarniejszych przedmiejskich spelunkach i tam występował w całkiem odmiennej postaci! To niespodziewane odkrycie wskazało mi drogę, jaką mam obrać, aby dojść wreszcie do celu. Chytrze wziąłem się do rzeczy i ostatecznie udało mi się wyszukać tę knajpkę, w której co noc lubiał spędzać po kilka godzin; pewnego wieczoru poszedłem tam i oczekiwałem jego przybycia z zupełnym spokojem.

Istotnie koło północy mister Parker zjawił się w restauracyi!...

Ale nie tylko miał całkiem inne suknie na sobie, jak zwykle, nietylko ufryzował był sobie inaczej włosy i brodę. Brakło mu jeszcze kilka innych drobnych dodatków, które całkiem zmieniały jego postać. Nie miał rudych brwi, brakło mu dużych niebieskich okularów, a przytem twarz jego zmieniła kompletnie swój wyraz. Formalnie na pierwszy rzut oka był do nie poznania.

Gdy mnie zobaczył za stołem, przestraszył się i pewnie byłby się zaraz wycofał z gospody, gdybym z góry nie był przygotowany na odegranie małej komedyjki, która mogła doprowadzić mnie do celu. Otóż zrazu przypatrywałem się mu z ogromną uwagą od stóp do głów, a potem obróciłem się tak obojętnie, że go to, jeśli nie całkiem, częściowo uspokoiło przynajmniej. Z zadowoleniem spostrzegłem, że sztywny Anglik lubuje się w bardzo wytrawnem winie, które sobie zamówił i że pod wpływem trunku powoli traci tę moc panowania nad sobą, jaka go zwykle w obejściu cechowała. Rozmawiał ochoczo z kelnerkami i widocznie zdradzał chęć przyłączenia się do jakiegoś towarzystwa. Zdawało mi się, że już nadeszła chwila sposobna do działania. Wstałem od stołu i przybierając minę dobrze podochoconego, podszedłem ku niemu z zapytaniem, czy nie zagrałby ze mną w karty. Wymruczał pod nosem coś na kształt odmowownej odpowiedzi, ale ja udałem, że go poznaję po głosie i przemówiłem doń niby ogromnie zdziwiony, wprost po nazwisku. Zaskoczyło go to całkiem niespodziewanie, lecz zanim zdołał powiedzieć coś na swoje usprawiedliwienie, ja pierwszy z przestraszoną miną prosiłem go, aby przed nikim nie wspomniał nawet, że widział mnie w tem miejscu, bo to, co jemu uszłoby jeszcze jako obcemu, mnie poczytanoby wprost za zbrodnię. Gdyby biedak był choć trochę trzeźwiejszy, pewnie byłby poznał mój podstęp; ale wino zamroczyło go już dobrze i sam zaczął leźć do mych sideł. Przekonany, że mnie zależy taksamo, a może i więcej na jego milczeniu, jak jemu na mojem, odrazu odzyskał swą wesołość i zgodził się pójść do seperatki, żeby zagrać w karty. Zamówiłem porządną baterye flaszek i w jaknajlepszej zgodzie cofnęliśmy się do naszego nowego azylu.

W rzeczywistości byłem jeszcze bardzo daleki od mego głównego celu i zrobiłem tylko niewielkie posunięcie na szachownicy. Mimo bowiem, że Parker co chwila stawał się bardziej pijany, najmniejsza nieostrożność z mej strony mogła popsuć całą sprawę i to raz na zawsze. Dlatego też nie spieszyłem się zbytecznie i najpierw pod pozorem, że nie ja, lecz wino mówi przez me usta, zacząłem spowiadać się przed nim z mego życia, a opowiadałem takie rzeczy, że mała ich część powinna byłaby mnie zaprowadzić na szubienicę, gdyby tylko polegała na prawdzie. Swoją drogą były to prawdopodobne historye, do których treści zaczerpnąłem częścią z powieści kryminalnych, a częścią z rozpraw sądowych, którym albo sam się przysłuchiwałem, albo też o których czytałem w dziennikach. Parker słuchał mnie z wielką uwagą i z lekceważącą miną znawcy, ale całe jego odpowiedzi ograniczały się do takich wykrzykników, jak: „Ba! gdyby policya mogła znać życie każdego, pół świata siedziałoby już w kryminale!" — albo też: — „To czyste szczęście, lecz nie zasługa, jeśli ktoś potrafi przez całe życie wymigać się od munduru skazańca!" — lub: — „Szubienica nie jest wyższa, jak grób głęboki, a do nieba od obojga jednakowo daleko!"...

Była to filozofia wytrawnego łotra i nic więcej. O swoich wypadkach nie chciał jednak ani słówkiem napomknąć i poznałem wkrótce, że trzeba zacząć z innej beczki, jeśli chcę dojść do jakichś pozytywnych rezultatów i nie tracić czasu na darmo.

— Wiesz ty co, kochanie! — rzekłem — że, jak dla mnie przynajmniej, to ten stary Springer w sam czas przeniósł się do wieczności! Krąży tu parę wekselków z jego podpisem, o których on naturalnie nigdy nic nie wiedział i kto wie, czy w dniu ich płatności nie byłbym w łeb sobie palnął, gdyby jego śmierć nie wyratowała mnie w tak tani sposób. Doprawdy, że gdyby to nie był nieszczęśliwy wypadek, gdyby do tego dopomogła jakaś ręka ludzka, to jak zbawcy byłbym wdzięczny temu dżentelmenowi, który nie wiedząc o niczem, poszedł mi sam tak na rękę!...

To, że udawałem całkiem pijanego, nie przeszkadzało mi bynajmniej bacznie obserwować mojego towarzysza. Dostrzegłem też na ustach Parkera ten uśmiech zadowolenia, jaki wywołuje zwykle zręczne pochlebstwo. Teraz byłem już pewny swego!

— A czy pan wiesz, panie Parker — zacząłem dalej cichym głosem — że ja wyrobiłem sobie w tej sprawie pewne zdanie? Znaleziono przy Springerze te dwa tysiące dolarów, które tu zmienił i wziął na wydatki w podróży, ale gdzie reszta?... gdzie reszta?!... w tem sęk!...

Oczy Parkera, które od wina nabrały niezwykłego blasku, teraz zapłonęły nagle dzikim gniewem.

— Jaka reszta? — zapytał mnie gwałtownie. — Co on mógł mieć jeszcze przy sobie! Ja panu ręczę, mister Archer, że prócz tej znalezionej sumy Springer nie miał ani grosza w kieszeni!...

— Zapewne! z wyjątkiem dziesięciu tysięcy dolarów!...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wysyłka czeskich instrumentów muzycznych

tylko w doborowym gatunku!



po najtańszych cenach fabrycznych.

Bezpośrednio z fabryki nabywać można po cenach najtańszych! Podług moich zobowiązań odnośne wysyłki, zamawiający nie ryzykuje wcale, ponieważ na żądanie zamieniam towary lub też zwracam pieniądze. Skrzypce dla początkujących od złr. 2·40, 3·—, 3·50, 4·—, 5·—, 6·—. Skrzypce koncertowe po 7·—, 8·—, 10·—, 12·—. Skrzypce solowe, silne w tonie po złr. 25.—, 30·—, 40·—, 60·—, 80·—. Smyczki skrzypcowe po złr. 0·50, 0·60, 0·80, 1·—, 1·50, 2.— i wyżej. Pikolo i flety, solidnie wykonane po złr. 0·50, 0·80, 1·—, 2·— i wyżej. Klarnety w najlepszej akości po złr. 4·50, 5.—, 6·—, 7·— i wyżej. Wysyłka za zaliczką lub za poprzedniem nadesłaniem należytości przez dom eksportowy towarów muzykalnych

Hanns Konrad w Brüx Nr. 1387 (Czechy).

Bogato illustrowane cenniki z przeszło 1000 rycinami wysyła się na żądanie bezpłatnie i franko.

Rządowo uprawniona

FABRYKA WÓD MINERALNYCH SZTUCZ.

i specyalnych leczniczych, pod firmą

K. RZĄCA I CHMURSKI

w Krakowie, przy ulicy św. Gertrudy l. 4, Telefon 227.

Wyrabia pod kontrolą komisyi Przemysłowej Tow. Lek. krak. polecone przez toż Towarzystwo Wody Mineralne, odpowiadające składem chemicznym wodom: Bilińskiej, Gieshueblerskiej, Selterskiej, Vichy, Maryenbadzkiej, Homburg, Kissingen, ,udzież specyalne lecznicze, jak: litową, bromową, jodową, żelazistą, kwaśną oraz wody mineralne normalne z przepisu prof. Jaworskiego. — Sprzedaż cząstkowa w aptekach i drogueryach. Cenniki na żądanie franco.

Budzik konkurencyjny



według systemu ameryk., w każdej pozycyi idący, w doborowej jakości z **3-letnią gwarancyą** za dobry i punktualny chód **złr. 1·45,** przy odbiorze 3 sztuk **złr. 4·—, z świecącym się w nocy cyferblatem złr. 1·65,** przy odbiorze 3 sztuk **złr. 4·50.** Niema ryzyka! Zmiana dozwolona albo zwrot pieniędzy. Wysyłka za zaliczką lub za poprzedniem nadesłaniem należytości przez **pierwszą fabrykę zegarków**

HANNS KONRAD

w Brüx, nr. 1382 (Czechy).

Bogato illustrowane cenniki z przeszło 1000 rycinami zegarków, towarów złotych i srebrnych wysyła się na żądanie bezpłatnie i franko.

Singera maszyny do szycia

znakomitej jakości, sprzedaje z 5-letnią gwarancyą na wypłat w małych ratach

NIEMETZ I SP.

w Krakowie, ul. Szewska 2 (pierwszy dom od Rynku).

Przyjmuje wszelkie naprawy Ceny niskie

REUMATYZM

gościec, ból głowy, ból zębów i t. d., usuwa w zupełności znany środek Rubla Liniment menthol. bals. camph. (Nerwoton) Cena za flaszkę 8 hal. Jedyny skład wysyłkowy Apteka **H. Rubla** przedtem Ruckera we Lwowie.

Każda Pani

znajdzie u mnie dobrze wynagradzane zajęcie uboczne przy robotach ręcznych; robotę oddaję do wszelkich miejscowości. Prospekty wraz z gotowymi wzorami za nadesłaniem 30 hal. (w markach).

Regine Beck, Wien, XX., Brigittenauerlände 28.

WĘGIERSKA

RÓŻANA Papryka Szegedyńska najlepsza, słodka, ręczę za prawdziwość. uznanej znakomitej jakości, własnego wyrobu klg. za 5 K. Wysyłka za zaliczką, począwszy od 1 klgr opłatnie. Dalsze specyalności: **Słonina, węgierskie salami** itp. b. tanio.

Dom wysyłkowy różnorodnych produktów krajowych

Haupt A. Rudolf, Budapest VII. Ovodagasse 22.

Grzebień do farbowania włosów



Patent Hofera, przez zwykłe czesanie, farbuje siwe lub rude włosy na blond, szatyn lub zarne. Nieszkodliwość gwarantowana. Sta czy na wiele lat Tysiące w użyciu. — Cena za sztukę 5 K. Wysyła za zaliczką.

Leo Lateiner, Wiedeń I/54 Wollzeile 31.

SENSACYJNA NOWOŚĆ! ORKIESTRA W KIESZENI!



Kilka takich instrumentów jest w stanie utworzyć formalną orkiestrę.

Instrument stanowi ustna harmonijka z 10 otworami a 20 tonami oraz bębenkiem do akompaniamentu. Cena instrumentu w eleg. kartonowem opakowaniu 2 K 50 h. Takiż instrument o 16 otworach (32 ton.) z tonacyą tremolową w ozdobnem opak. 3 kor — Każdy może grać bez nauki. Wysyłkę za poprzedniem nadesłaniem gotówki lub za zaliczką uskutecznia

Dom eksportowy instr. muz.

Hanns Konrad, w Brüx Nr. 1494. (w Czechach).

Bogato ilustrowany cennik, zawierający przeszło 1000 rysunków, wysyła fabryka na żądanie darmo i opłatnie.

Zegar ścienny „Kuckuck“ K. 8·50



w gustownie rzeźbionej szkatułce z ptaszkiem na górze, cyfry i wskazówki z kości, wybija godziny i półgodziny, 33 ctm. wysoki, **z 2 pozłacanemi bronzowemi wagami,** z mechanizmem „Schotten“ — **tylko Kor. 8·50.** Zegar okrągły ścienny, raz na 36 godzin naciągany, 16 ctm. średnicy, **Kor. 3.** — Taki sam zegar idący 8 dni, 30 ctm. średnicy, **Kor. 5·60.** Za każdy z tych zegarów 3-letnia, pisemna gwarancya. — Corocznie rozsyłam więcej niż 50.000 sztuk tych zegarów, ku największemu zadowoleniu moich Szan. Odbiorców. Ta wyjątkowa wprost liczba daje najlepsze świadectwo o rzetelności mojej firmy. Każde, nawet najmniejsze zamówienie, będzie natychmiast wykonane. Wysyłkę za zaliczką uskutecznia

HANNS KONRAD Pierwsza fabryka zegarów w Brüx Nr. 1488 (Czechy).

Bogato illustrowany cennik z przeszło 1.000 illustr. wysyła się na żądanie darmo i opłatnie.

SALON KOSMETYCZNY PRZY UL. BISKUPIEJ L. 14

poleca najlepsze aparaty i preparaty do pielęgnowania twarzy, włosów, rąk i palców. Wszelkie środki są zbadane i polecone przez Dra **Lustra**, specyalistę kosmetyki lekarskiej w Krakowie.

---

5 Kor. i więcej dziennego zarobku!

Towarzystwo robotników domowych robienia pończoch.



Poszukiwani mężczyźni i kobiety do robienia pończoch na naszej maszynie. Prosta i szybka robota przez cały rok w domu.

Niepotrzebna żadna poprzednia znajomość. Odległość nie wpływa bynajmniej, a my sprzedajemy roboty wykonane.

„Hausarbeiter-Strickmaschinen-Gesellschaft“

Thos. H. Whittick & Co.

Triest, Via Campanile 13-280. Prag, Petersplatz 7, 1-280.

Tanie złote i srebrne przedmioty



z pisemną gwarancyą i urzędowym stemplem.

Wiktoria diamentowy pierścień w prawdziwym double złocie stemplowanym na srebrze toczonem K. 3·—, w prawdziwej z amerykańskiego złota oprawie K. 5·—, w 14-karatowym złocie K. 8·—, z prawdziwym dyamentem K. 16·—, 20—, 24·— i więcej.

Pierścień przyjacielski z prawdziwego stemplowanego srebr szt. tylko 80 hal. ten sam pozłacany K. 1·—, z amerykańskiego złota K. 4·—, z 14 kar. złota K. 8·—, **7-rzędowy pierścień przyjacielski** ze srebra K. 1·20, pozłacany K. 1·40.

Obrączki ślubne z ameryk. złota. szt. K. 3·—, 4·—, 5·—, z 14 kar. złota szt. K. 8·—, 10·—, 12·—, z prawdziwego srebra szt. K. 1·—, srebrne pozłacane K. 1·20.

Miarę na pierścionki można brać paskiem papierowym.

Kolczyki Kreolek z 14 kar. dobrego złota K. 6·—, większe K. 8·—, ze złota doublé K. 2·40.

Wielki wybór kolczyków, broszek, naramienników. Patrz w cenniku. Żadnego ryzyka, zapewniona zamiana lub zwrot pieniędzy. Przesyłka za zaliczką lub za poprzedniem nadesłaniem pieniędzy przez

Hanns Konrad

Fabryka zegarów i dom przesyłkowy w Brüx Nr 1386 (Czechy).

Bogato illustrowane cenniki z przeszło 1000 rycinami wysyłam na żądanie darmo i opłatnie.

OZDOBA DLA KAŻDEGO POKOJU!

Tylko krótki czas!



Z powodu zwinięcia fabryki udało mi się tanio zakupić 8000 dywanów ścien. i 11 000 dywaników przed łóżka tak, iż jestem w stanie wspaniały

Dywan ścienny

sznelkowy

obustronnie jednakowy w pięknych prawdziw. barwach 100 cm. szeroki, 200 cm. długi o cudownych deseniach: Lwy, psy. rodziny renie, łabędź, paw, jeleń, Persowie, kwiaty etc. za zaliczką posłać **po złr. 2·50** Szczególnie polecenia godny do wilgotnych pokoi, ponieważ dywan jest tak gruby, że się wilgoć nie przedostaje.

Dotychczas niebywałe ceny.

Piękne dywaniki przed łóżka tylko 70 ct. sztuka

PIERWSZY MORAWSKI EKSPORTOWY DOM TOWAROWY

JULIUS HOITASCH, GODING Nr. 120 (Morawy).

Setki podziękowań i dalszych zamówień znajduje się u mnie. — — — Nieodpowiednie zostaną bez trudności przyjęte z powrotem pieniądze zwrócone.

„MAKART“

Zakład art. fotogr. i dla powiększeń we Lwowie, Trzeciego Maja l. 10 wykonuje z każdej nadesłanej fotografii:

Portrety kredkowe, pastelowe lub olejne aż do naturalnej wielkości od 4 złr. — 12 korespondentek (plat brom.) za 1·50 złr. — 1 dyapozytyw do okna 1·50 złr. — 1 dyapozytyw do okna kolorowany 2 złr.

Miniaturki emaliowane w oprawie złotej, srebrnej lub z brązu począwszy o 1 złr.

Zakład przyjmuje również wszelkie inne prace z zakresu fotografii po cenach zniżonych.

Uwaga: Portrety, miniaturki i dyapozytywy są zawsze miłą pamiątką i najpraktyczniejszym podarunkiem.

MEBLE

z pierwszorzędnych fabryk jako to: sypialnie, jadalnie i salony oraz pracownię tapicerską i wypożyczalnię poleca

B. L. Kitschales, Lwów Teatralna l. 22, Dom Narodny.

Polecа rozmaite wyborne gatunki

KAWY

codziennie świeżej

równo i pięknie palonej najnowszym i najlepszym sposobem

za pomocą gorącego powietrza

odznaczającej się najprzedniejszym czystym smakiem, pełnym i silnym zapachem, największą wydatnością, a zarazem posiadającą własność utrzymywania przez czas długi smaku i zapachu, w niezmienionej pierwotnej świeżości

po cenach bardzo przystępnych.

Na prowincyę wysyła od czterech kilgr. począwszy **oodzień świeżo** paloną kawę 2—14 **opłatnie.**

Pierwsza Krakowska elektro-mechaniczna

PALARNIA KAWY



M. JAWORNICKI

KRAKÓW

Rynek gł. 44.

Proszę żądać



darmo i opłatnie mój bogato ilustrowany cennik zegarków, towarów złotych i srebrnych (przeszło 1000 ilustracyj)

HANNS KONRAD

PIERWSZA FABRYKA ZEGARKÓW

w BRÜX Nr. 1379 (Czechy).

Niema ryzyka! Wymiana dozwolona albo zwrot pieniędzy.

BIURO

NAUCZYCIELSKIE

Stefanii Łapszów z Trembeckich Zwilling

Kraków, ul. św. Jana l. 2 róg Rynku Głównego poleca:

Nauczycielki, Guwernantki, Nauczycieli, Guwernerów oraz Wychowawczynie i Bony różnej narodowości.

BIELIZNĘ



Dra prof. JAEGERA i Dra LAHMANNA

POLECA

ZDZISŁAW ZDANOWICZ

KRAKÓW, SŁAWKOWSKA 3.

Maszyna do robienia pończoch całkiem nowa do sprzedania.

Na tej maszynie m że każdy 5 Kor. i więcej dziennie zarobić. Wiad mość w Redakcyi „Nowości ilustr.“

Stosowne podarunki dla chłopców.

Latarka magiczna



łakierowana na czarno, z objekt. niklową, z 3 soczewkami, lampą do nafty i z 12 obrazkami

20 cm. wys. 3·50 kor.

Ta sam. 24 » » 5·— »

» » 28 » » 8·— »

» » 34 » » 12·— »

Tanie maszyny parowe



opalane spirytusem, stojące z cyl. went. bezpiecz., z piszcz. parow. Wys. 24 cm., całkowit. z lampką spirytus. zapakow. w pudełko kosztują za sztukę 1·50 kor. Ta sama maszyna parowa większa i 34 cm. wysoka za sztukę 2·80 kor.

Do nabycia wprost:

HANNS KONRAD

I-sza fabryka zegarków w Brüx nr. 1391 (Czechy).

Bogato illustrowane cenniki z więcej niż 1000 rycinami przesyła się na żądanie za darmo i opłatnie.

Odpowiedzialny redaktor: Wiktor Nimhin. Wydawca i właściciel: Stanisław Lipiński. Z drukarni Władysława Teodorczuka w Krakowie, ul. Zielona 7. Klisze z zakładu T. Jabłońskiego i Ski w Krakowie.